DWUTYGODNIK AKADEMICKI

koncept

NR 16

5-19 listopada 2013

ZNAJDŹ NAS na facebook.com

WWW.GAZETAKONCEPT.PL

NIE DAJMY SIĘ WYKOŃCZYĆ!

Najzdrowsze i najbardziej niewinne, albo uchodzące za zdrowe, czynności potrafią zamienić się w wyniszczające zdrowie i psychikę nałogi

Alkoholizm, nikotynizm, twarde narkotyki, czy hazard – któż w Polsce nie wie, że to niezdrowe rzeczy i powinniśmy z nimi uważać. Chyba nawet wielu zwolenników legalizacji marihuany w duchu szczerze przyzna, że opinia o tym, iż nie da się od niej uzależnić, do prawdziwych nie należy. By to zauważyć, nie trzeba skomplikowanych wyników badań, wystarczy rozejrzeć się wokoło. Problem w tym, że – jak dowodzą psychologowie wypowiadający się na łamach tego numeru „Konceptu" - lista zagrożeń jest dużo dłuższa i dostosowuje się do czasów, w których żyjemy. A najzdrowsze i najbardziej niewinne - albo uchodzące za zdrowe - czynności potrafią zamienić się w wyniszczające nałogi – środki, przy pomocy których maniakalnie walczy się z lękiem, depresją, zapomina o poczuciu zagrożenia, odreagowuje wyścig szczurów. Stąd często maratony przebiegane raz w tygodniu lub chorobliwy zapał, by przebiegać je w ciągu trzech godzin, i frustracje pojawiające się, kiedy to się nie uda. Stąd często zwiedzanie, w stylu niegdyś opisywanym jako „japoński", polegające na „zaliczaniu" na czas zabytków. Stąd często imprezy, gdzie zabawa, zamienia się w „odreagowywanie" kończone w policyjnych aresztach czy na detoksach. Równocześnie nieustannie jesteśmy zachęcani do przyśpieszania – jogging stał się już niemal obowiązkiem, a najzdrowszą czynnością jazda na rowerze po zatłoczonych ulicach miast pozbawionych przyzwoitych ścieżek rowerowych.

Z jednej strony mamy błyskawiczny postęp cywilizacyjny; z drugiej strony świat, który nas otacza, wciąż daleki jest od raju. W porównaniu ze społeczeństwami większości państw zachodnich, życie przeciętnego Polaka jawi się jako mały koszmar. Mamy wysokie bezrobocie i coraz więcej wieloletnich bezrobotnych, którzy już nawet nie szukają pracy. Wizja dołączenia do tej grupy goni całą resztę do coraz cięższej, dużo cięższej niż na Zachodzie pracy. Nasze życie w ostatnich latach się poprawiło, ale w dużym stopniu odbyło się to na kredyt, zresztą niepozwalający spokojnie spać. Odpowiedzią jednych jest pracoholizm i zabójczy dla zdrowia udział w wyścigu szczurów. Inni uciekają przed dorosłością, odkładając przez całe życie dorosłe decyzje – stąd pokolenie 30-latków mieszkających z rodzicami i nie planujących zmieniać tego stanu rzeczy.

Jak sobie z tym wszystkim poradzić, przeczytacie na łamach tego numeru „Konceptu".

Więcej m.in. STR. 3, 4, 5, 6

FOTO Vision Film

w tym NUMERZE:

MACIEJ BALCERZAK

Starannie selekcjonuj kierunki studiów i kursy, pracy szukaj w swojej branży, bądź krytyczny wobec siebie – o tym, jak wygrać wyścig szczurów pisze praktyk z wieloletnim doświadczeniem. STR.6

BARBARA ACHER-CHANDA

Brazylijski multimiliarder po prostu oddał zarządzanie swoją firmą pracownikom. Nie z filantropii, a po to, by zwiększyć dochody. Czy demokracja ze świata polityki może przenieść się do świata biznesu? STR. 8

ROBERT MAZUREK

Do niedawna uważałem, że to, co ze mnie wychodzi to nudziarstwo. Teraz już wiem, że to namysł i refleksja tak niezbędne do popełnienia dzieła wielkiego STR. 14

W ŚRODKU KRZYŻÓWKA!

WITOLD SKRZAT

PUDZIAN ZE ZŁOTA

Jeszcze kilka lat temu walki KSW toczyły się w sali, gdzie woń potu zawodników mieszała się z aromatem dobrze wypieczonych steków. Dziś MMA stała się jednym z ulubionych sportów polskich telewidzów. Dla jednych to objaw ogłupienia społeczeństwa, dla innych dowód, że ładnie opakowany produkt zawsze się sprzeda. - Moja lewa ręka to śmierć, a prawej sam się boję – stwierdził Mariusz Pudzianowski przed jedną z bitew w formule MMA, czyli mieszanych sztuk walki.

Dla dwóch trzydziestokilkulatków, którzy płacą popularnemu „Pudzianowi" za wejście do ringu sprawa ma się nieco inaczej. Dla nich lewica i prawica umięśnionego zawodnika wykonana jest ze złota. STR. 15

KATARZYNA DOWBOR: O FACETACH SZCZERZE DO BÓLU

ROZMOWA „KONCEPTU"

TVP była dobrem wspólnym, a jej prezes Janusz Zaorski jadał obiady razem z pracownikami, o czym piszę „W mężczyznach mojego życia". Nie bał się ich, normalnie z nimi rozmawiał (...). Wojciech Mann jest niesympatyczny. Nie boję się, że się obrazi. Bo on się z nikim nie koleguje, więc nawet nie bardzo ma się jak obrazić (...). Kiedy wyrzucono mnie z pracy, zadzwonił do mnie człowiek spoza branży – lider zespołu Bayer Full Sławomir Świerzyński. I zaproponował pomoc. Razem z nim poprowadziłam festiwal muzyki disco-polo. Wcale się tego nie wstydzę. Co z tego, że rozmaici moi koledzy podśmiewują się z takich ludzi jak Świerzyński, kiedy to właśnie on pokazuje, że jest wartościowym człowiekiem? Zresztą prowadziłam też festiwal muzyki Krzysztofa Pendereckiego. Nic z tego nie zrozumiałam.

STR. 10

BYŁO, JEST, BĘDZIE

Pilnujcie umów ze swoimi uczelniami

Z początkiem tego roku akademickiego uczelnie powinny podpisać umowy o „świadczeniu usług edukacyjnych" z każdym studentem - zobowiązuje je do tego prawo o szkolnictwie wyższym. Jednak z wielu ośrodków akademickich napływają informacje, że szkoły wyższe ociągają się z realizacją tego zadania albo podpisują umowy tylko ze studentami pierwszego roku. Innym problemem jest brak jednolitego wzoru takiej umowy, co pozwala władzom poszczególnych szkół opracowywać autorskie wersje i swobodnie interpretować treść umów. Z punktu widzenia studenta umowy mogą mieć fundamentalne znaczenie - dają bowiem gwarancję, że uczelnia nie zmieni np. stawek za studia w ich trakcie albo że kierunek, który wybrali, nie zostanie zamknięty z powodu małej liczby studiujących. Wszelkie zmiany zasad, do których odnosi się umowa uczelnia-student (wysokość opłat, etc.) wymagają podpisania stosownego aneksu.

Ruszył portal www.prawastudenta.edu.pl

Co musi się znaleźć we wspomnianej wyżej umowie podpisanej przez studenta z uczelnią? Jak uzyskać kredyt studencki i kto może otrzymać stypendium? Co zrobić, jeśli w trakcie sesji studenta dopadnie choroba? Odpowiedzi na te i inne pytania można znaleźć na stronie www.prawastudenta.edu.pl. Internetowy poradnik przygotował Parlament Studentów RP. Zawarte są w nim nie tylko porady, ale także szablony dokumentów, które trzeba złożyć w dziekanacie. Wszystko pogrupowane w konkretnych „boxach" (opłaty, umowy, zniżki, zdrowie, legitymacja, mieszkania, kredyty, etc.), sprawia, że nawigacja portalowa jest szybka i intuicyjna. Jeżeli student nie znajdzie w portalu odpowiedzi na nurtujące go pytanie wśród „gotowców", może przesłać pytanie pod adres sekretariat@psrp.org.pl, wpisując w tytule e-maila „Strona praw studenta". Otrzyma zwrotkę wcześniej niż później, a dzięki temu baza porad będzie wzbogacała się o nowe zagadnienia.

Ranking uczelni najaktywniejszych w Erasmusie

Dyrekcja Generalna ds. Edukacji i Kultury Komisji Europejskiej opublikowała raport dotyczący programu wymiany studentów Erasmus. Jako, że to instytucja unijna, nie dziwi nas, że dane nie mają naklejki „fresh", tylko pochodzą z roku akademickiego 2011/2012 - ale co robić, świeższych nie ma. W zestawieniu wzięto pod uwagę ponad 3 tys. szkół wyższych, które wysyłają za granicę swoich studentów w ramach Erasmusa. W pierwszej „setce" znalazło się aż/tylko (niepotrzebne skreślić) pięć polskich uczelni.

Uniwersytet Warszawski – 1300 erasmusowych studentów (7. miejsce w Europie)
Uniwersytet A. Mickiewicza w Poznaniu – 870 (23)
Uniwersytet Jagielloński – 841 (26)
Uniwersytet Wrocławski – 709 (41)
Uniwersytet Łódzki – 527 (83)

Dodajmy, że z kolei pod względem liczby studentów zagranicznych, którzy przyjeżdżają do Polski, Uniwersytet Warszawski tylko nieznacznie wyprzedził Uniwersytet Jagielloński. Uczelnia z Warszawy zajęła 48. pozycję przyjmując 608 zagranicznych studentów. Uniwersytet Jagielloński przyjął tylko ośmiu studentów mniej, co dało mu 51. miejsce w zestawieniu.

Po 300 tys. dla MISTRZÓW nauki

Po 300 tys. zł otrzymało 19 wybitnych naukowców nagrodzonych w programie MISTRZ Fundacji na rzecz Nauki Polskiej. Laureaci mają pełną dowolność na co przeznaczą pieniądze. Bonusem dla wyróżnionych było spotkanie się z ubiegłorocznym laureatem Nagrody Nobla z dziedziny chemii Brianem Kobilką. W programie MISTRZ nagradzani są doświadczeni badacze podejmujący nowe kierunki badań - w tym roku był to obszar nauk ścisłych. Zwycięskie prace dotyczą m.in. produkcji taniej i elastycznej elektroniki, informatyki kwantowej, komputerowego modelu Wszechświata, kontroli tysięcy reakcji chemicznych jednocześnie, czy tzw. ciemnej energii. Program MISTRZ Fundacji na rzecz Nauki Polskiej jest realizowany od 1998 r. Obecnie grono laureatów tego programu liczy niemal 200 badaczy. Celem jest wspieranie wybitnych uczonych poprzez oferowanie im maksymalnie trzyletnich subsydiów przeznaczonych na zintensyfikowanie prowadzonych dotychczas prac lub podejmowanie nowych kierunków badań. Subsydia przyznawane są w trybie zamkniętego konkursu, co roku w innym obszarze nauki. Kandydatów do subsydium nominują autorytety naukowe ze wszystkich dziedzin.

NIK: uczelniane projekty badawcze oderwane od gospodarki

Skontrolowane w latach 2010-12 przez Najwyższą Izbę Kontroli uczelnie wyższe ukończyły prawie 5 tys. projektów badawczych o wartości niemal 730 mln zł. Okazało się jednak, że tylko ok. 6 proc. projektów (283) to badania, których wyniki w przyszłości mogą nadawać się do praktycznych zastosowań. Z całej puli projektów badawczych do gospodarki przekazano wyniki zaledwie 95 badań i prac rozwojowych. Blisko 2/3 wdrożeń to zasługa 2 z 16 skontrolowanych uczelni (Politechniki Gdańskiej i Poznańskiej). Zdaniem NIK, akademickie centra transferu technologii miały spore problemy z realizacją swoich ustawowych zadań w zakresie sprzedaży lub nieodpłatnego przekazywania wyników badań i prac rozwojowych do gospodarki. Nie udzielały też wsparcia autorom badań w poszukiwaniu przedsiębiorców zainteresowanych wdrożeniem wyników ich prac w gospodarce. Uczelnie zamiast skupić się na prowadzeniu badań naukowych i prac rozwojowych, swoją współpracę z przedsiębiorcami ułożyły po linii najmniejszego oporu – skupiły się na realizacji wspólnych projektów unijnych, organizowaniu praktyk studenckich, czy wykonywaniu ekspertyz.

WYDZIAŁ ZARZĄDZANIA UW WŚRÓD LIDERÓW EUROPY ŚRODKOWO-WSCH.

Wydział Zarządzania Uniwersytetu Warszawskiego zajął trzecie miejsce w Europie Wschodniej w międzynarodowym rankingu biznesowych uczelni wyższych Eduniversal. Wydział, którego absolwenci zasilają m.in. kadrę menedżerów, wyprzedziły tylko Uniwersytet w Petersburgu (Graduate School of Management) w Rosji i Uniwersytet Ekonomiczny w Pradze (Czechy). W rankingu wzięło udział 1000 uczelni wyższych ze 154 państw. Kryteriami oceny były m.in.: umiędzynarodowienie studiów, posiadane akredytacje, członkostwo w międzynarodowych stowarzyszeniach naukowych, aktywność pracowników na polu naukowo-badawczym oraz wyniki głosowania rektorów i dziekanów tysiąca szkół biznesu z całego świata.

Ogólnopolski konkurs atomowy dla studentów

Spółka PGE EJ 1 (odpowiedzialna za budowę pierwszej elektrowni atomowej w Polsce) ogłosiła ogólnopolski konkurs dla studentów. Będzie on realizowany w ramach programu współpracy z uczelniami wyższymi „Atom dla Nauki", którego główne cele to: zainteresowanie studentów i kadry naukowej tematem energetyki jądrowej, promocja młodych naukowców oraz budowanie szerokiego zaplecza eksperckiego potrzebnego do rozwoju energetyki jądrowej. Konkurs opierać się będzie na rozwiązaniu zadania problemowego z 7 obszarów tematycznych: socjologia, turystyka, komunikacja społeczna, fizyka, radiobiologia, ekonomia oraz prawo. Dla zwycięzców w poszczególnych kategoriach (prace oceni jury złożone z ekspertów), PGE EJ 1 przewidziało nagrodę w postaci wyjazdu studyjnego do działającej, bądź będącej w budowie elektrowni jądrowej na świecie. Zdobywcy drugiego miejsca otrzymają nagrodę finansową w wysokości 4 000 zł, a trzeciego – w wysokości 2 000 zł. Szczegóły na stronie: www.swiadomieoatomie.pl, w zakładce "Atom dla nauki".

BARDZIEJ NIŻ NORMALNE

Fałszywy profesor w stroju chasyda

W ciągu trzech ostatnich lat zarobił ponad 100 tys. złotych jako wykładowca kilku polskich uczelni. Tak mógłby zaczynać się ranking zarobków kadry akademickiej. Ale tak kończy się kariera pewnego magistra prawa podającego się za profesora. Mariusz K. wpadł w ręce policji, kiedy snobował się na korytarzach Uniwersytetu Jagiellońskiego przebrany za chasyda. Widać - zarobił tyle, że taniej było mu się przebrać za ortodoksa religijnego niż profesora uczelni. W końcu teraz garnitury z lat 70. to już drogocenny old school.

Dyskryminacja w akademikach

Politechnika Łódzka nie traktuje swoich studentów jako dorosłych ludzi! Studenckie pary, które chcą zamieszkać ze sobą w jednym pokoju, potrzebują zgody od rodziców! Nawrzeszczeli się dziennikarze, aferę zrobili, że to jakiś ciemnogród i w ogóle nie postępowo. Dodajmy, że oprócz zgody rodziców, miłujący się chłopak i dziewczyna, aby zamieszkać w jednym pokoju muszą dostarczyć również nienaganną opinię od administracji osiedla, samorządu studenckiego i rady mieszkańców akademika. A naszym zdaniem to właśnie bardzo postępowo i w zgodzie z cywilizacyjnym trendem – dyskryminować pary heteroseksualne, kiedy od par homoseksualnych nie wymaga się nawet zgody ciotki.

Od łóżka do pokoju wykładowcy

Politechnika Lubelska zrobiła krótki film, który uczy studentów dobrych manier. 7-minutowy thriller pokazywany jest studentom pierwszego roku podczas spotkań organizacyjnych. Nakręciła go ekipa Studenckiej Internetowej Telewizji Politechniki Lubelskiej (pollub.tv). Sympatyczna Karolina i sympatyczny Radek edukują, jak się ubierać (i to dosłownie, bo od chwili wstania z łóżka), jak jeść i pić podczas zajęć, z jakiego telefonu korzystać w ich trakcie, a także jak wchodzić do pokoju wykładowcy i narobić sobie wstydu. Zastanawia jedno – skąd u ludzi wychowanych w XXI wieku, smykałka do tworzenia dzieł przypominających filmy wychowawcze dla budowniczych Nowej Huty?

Seriale medyczne przyciągają…

Polska jest medyczną potęgą – przynajmniej akademicką. Otóż okazuje się, że studenci zagraniczni najchętniej podejmują u nas właśnie studia medyczne. Kierunki lekarskie w roku 2012/2013 wybrało ponad 5 tys. obcokrajowców, a dentystyczne blisko 700. To się trochę zdziwią, kiedy w spisie wykładowców nie znajdą Żebrowskiego, czy Małaszyńskiego.

ŹRÓDŁA: www.students.pl; www.nik.gov.pl; www.naukawpolsce.pap.pl; www.rp.pl; www.gazeta.pl; www.student.lex.pl; www.mnisw.gov.pl; www.dlastudenta.pl; www.rynekzdrowia.pl.

Z GIPSEM **W ZĘBACH**

WIKTOR ŚWIETLIK
redaktor naczelny

Znajomy od tłuczenia w klawiaturę doznał zapalenia ścięgien nadgarstka. By móc pisać dalej dość szybko wkrótce zerwał z ręki gips

W powieści Thomasa Pynchona „Wada ukryta" jest taka scena, kiedy stary ćpun, a zarazem detektyw staje przed najnowszym komputerem IBM. Są to wciąż hipisowskie lata 70., więc sprzęt jest wielki, pełen różnokolorowych światełek, imponujący bogactwem wydawanych dźwięków i skomplikowaniem pulpitów do sterowania. Detektyw, mający po raz pierwszy kontakt z takim cudem, chwilę kontempluje urządzenie, by w końcu stwierdzić: „niech mi powie, gdzie mogę kupić towar". Postęp techniczny niekoniecznie nam musi służyć i niekoniecznie potrafimy zrobić z niego należyty użytek.

Przekonali się o tym, bliżej naszych czasów, rozliczni moi znajomi – dziennikarze. Wyszukiwarki i kompilacja informacji w cudownym internecie na chwilę zamieniła naszą pracę w iście rajską. Ależ przez chwilę to było opieprzando. Zamiast biegać po bibliotekach, ciach, ciach, dwa klawisze i już. Tyle, że okazało się, że to ciach, ciach, może teraz zrobić każdy, a z czasem powstały inteligentne automaty do robienia ciach, ciach, które już wkrótce mają zacząć pisać za nas artykuły. Efektem jest to, że dziennikarzy ubywa, a ci, którzy chcą pozostać na rynku, muszą zasuwać dwa razy więcej niż kiedyś to się robiło, bo by zdobyć coś oryginalnego, muszą najpierw przebijać się przez gigantyczne śmietniki już przetworzonych informacji. Sytuacja ta dobrze nie wpływa ani na jakość ich pracy, ani na ich zdrowie, ani na zarobki, bo w związku z kryzysem branży, by zarobić, trzeba pisać coraz więcej. W wyniku nieustannego tłuczenia w komputer, dwoje z moich znajomych uległo identycznemu schorzeniu, które, jak się okazuje, jest coraz bardziej powszechną chorobą cywilizacyjną. Uszkodzili sobie ścięgna nadgarstka. Kolega tak cierpiał z powodu tej choroby, a dokładniej – z tego powodu, że nie może dość szybko pisać, że przed czasem zerwał sobie gips z ręki. Jak widać, są gorsze schorzenia niż zapalenie ścięgien, i nie są to choroby fizyczne.

Na łamach tego numeru „Konceptu" piszemy o tym, co nam dziś grozi, a grozi niemało, ale też o tym, jak sobie z tym radzić. Sam z ciekawością to czytam, przy okazji dorzucając jeszcze jedną historyjkę: bardzo sędziwa ciotka kolegi udała się do lekarza i zwierzyła, że od około pół wieku, codziennie wypija po kolacji podwójny winiak. Czy nie powinna tego odstawić? W telewizji tyle mówią o tym, że alkohol szkodzi. - Szkodzi alkoholikom. A pani pomaga - odparł lekarz. I dodał: - Zamiast koniaku, niech pani lepiej ograniczy telewizję.

CZEGO POWINNIŚMY SIĘ BAĆ, **CZYLI DLACZEGO POLACY WARIUJĄ**

JAKUB BIERNAT
socjolog, dziennikarz TVP/TV Biełsat

Adasia Miauczyńskiego, sfrustrowanego inteligenta lat 90. opisał perfekcyjnie Marek Koterski. Polskie lęki i choroby drugiej dekady 21. wieku dopiero czekają na kronikarzy: A będzie co opisywać

Lęk jest motorem zachowań wielu z nas, choć często nie zdajemy sobie z tego sprawy; lub zdajemy, gdy jest za późno. I im bardziej wydaje nam się, że Polska staje się krajem zmierzającym w stronę normalności i dobrobytu, tym mocniej wśród części społeczeństwa rośnie irracjonalny strach. Wygląda na to, że powiedzenie biedny, ale szczęśliwy wcale nie jest takie głupie.

NIEBEZPIECZNE BEZPIECZEŃSTWO

Wydaje się, że żyjemy w bezpiecznym świecie. Od ostatniej prawdziwej wojny minęło już prawie 70 lat, upadek komunizmu oznaczał kres olbrzymiego aparatu represji i kontroli nieprawomyślnych. Nastała wolność, można robić co się chce, mówić co się chce. To proces zupełnie normalny w liberalnym państwie, gdzie rezygnuje się z kontroli poprzez strach na rzecz innych narzędzi. Niegdyś Machiavelli pisał, że lepiej gdyby księcia się bano niż go lubiano. Dziś książę wcale nie każe nam się bać, że ktoś przyjdzie o piątej rano i zapuka do drzwi. Nikt też nam nie narzuca jak mamy żyć - religia czy rodzina stają się coraz bardziej kwestią wyboru, nie przymusu. Ludzie coraz mniej obawiają się negatywnej reakcji otoczenia na swoje czyny.

Nie jest jednak tak, że zaraz zapanuje anarchia - jesteśmy posłuszni i ciężko pracujemy - wielu z nas ma przecież kredyt na 25 lat we frankach lub boi się utraty pozycji społecznej, wyznaczanej przeważnie przez konsumpcję. Strach więc nie zniknął, nie wyparował. Przepoczwarzył się w lęk. Uczucie niebezpieczne, bo odczuwając lęk, nigdy do końca nie wiemy, czego się boimy i sami nie umiemy rozładować wytwarzanego w związku z tym napięcia.

NIEBEZPIECZNE, BO NIEZNANE NAŁOGI

Polska upacie, choć z mozołem idzie w stronę Zachodu, skąd dociera do nas świadomość nowych niepokojących zjawisk, które psychologowie łączą z tytułowym lękiem. Stare, oswojone nałogi zastępowane są przez zupełnie nowe zaburzenia kompulsywne. Pracoholicy to standard (chociaż nie wiadomo czy przypadkiem relatywny sukces Polski, to nie efekt pracy takich właśnie "pracoholików", którzy muszą zaharowywać się na śmierć, by utrzymać rodziny). Uzależnienie od hazardu to problem znany i opisany jeszcze w XIX w. W Polsce pojawili się już zakupoholicy zadłużający się do nieprzytomności, by kupić przedmioty, które są im do niczego niepotrzebne, ludzie uzależnieni od: sportu, seksu, wybielania zębów, opalania, operacji plastycznych, nie mówiąc o rozpoznanym już dość dobrze zjawisku bulimii i anoreksji. Do tego wzrasta sprzedaż lekarstw, które mają za zadanie właśnie obniżać poziom lęku.

„Problemy psychiczne ludzi są odzwierciedleniem czasów" - uważa psychoterapeutka uzależnień Agnieszka Wilkaniec-Herman. „W każdej epoce na pierwszy plan wysuwał się określony tym zaburzeń. Kiedyś była to schizofrenia – znane są barwne opisy ludzi rojących sobie, że są Napoleonami czy innymi bohaterami. Potem przyszła depresja, a teraz mamy do czynienia z coraz liczniejszymi przypadkami zaburzeń kompulsywnych" - dodaje. Specjalistka podkreśla, że o ile w dwóch pierwszych przypadkach efektem zaburzenia był lęk, to w trzecim przypadku - zachowania kompulsywne i natręctwa są formą walki z lękiem. Psychoterapeutka przypomina, że wszystko zaczyna się od irracjonalnego strachu, którego ludzie nie umieją rozładować np. poprzez pogłębienie relacji z innymi ludźmi. Potem następuje jego natężenie i przypadkowo taka osoba może odkryć, że robiąc coś niewinnego jak np. myjąc ręce, kupując albo nawet biegając, rozładowuje ten lęk. Potem okazuje się jednak, że z czasem od powtarzania takich zachowań nie ma ucieczki. Okazuje się, że człowiek może stać ofiarą nałogu – o tyle niebezpiecznego, że często niedostrzeganego przez otoczenie przyzwyczajone, że nałogowiec to co najwyżej alkoholik czy narkoman, a nie człowiek, który spędza po kilkanaście godzin tygodniowo w siłowni lub raz w tygodniu przebiega maraton.

POLSKIE LĘKI

Polacy mieszkający w państwie, które od przeszło dwudziestu lat się transformuje, znaleźli się w szczególnej sytuacji. Oto z jednej strony codziennie bombardowani jesteśmy przykładami zachodniego modelu konsumpcji; z drugiej zaś nadal zarabiamy znacznie mniej niż Europejczycy żyjący na zachód od dawnej żelaznej kurtyny. Żeby żyć na podobnym poziomie, musimy zatem o wiele więcej pracować. Do tego mamy znacznie mniej bezpieczeństwa – panuje u nas większe bezrobocie, coraz gorzej chronione są prawa pracownicze, szwankuje służba zdrowia. Zdaniem Agnieszki Wilkaniec-Herman to rozszczepienie może powodować dalsze kłopoty u ludzi, którzy mają ze sobą problemy. Nie dość, że lęk się nasila, to dodatkowo ludzie mają jak na tacy podany „sposób" rozwiązywania swoich napięć. Niestety zachowania kompulsywne kosztują, i to nie mało – statystyczny Polak z zaburzeniami szybciej straci zdrowie lub wpadnie w pułapkę zadłużenia.

„DZIEŃ ŚWIRA?"

Pomnikowy obraz człowieka kompulsywnego stworzył Marek Koterski w "Dniu Świra". Lęki, fobie i natręctwa Adasia Miauczyńskiego były wariactwami osamotnionego, zdegradowanego polskiego inteligenta w burzliwej epoce lat 90. Ludzie nowych lęków dopiero czekają na uwiecznienie w polskiej kinematografii czy literaturze. Może się jeszcze okazać, że po kilku kolejnych latach „transformacji", polskie społeczeństwo

FOTO: zdjęcia z filmu "Dzień świra" - dzięki uprzejmości dystrybutora filmu Vision Film

LECZENIE Z HAZARDU.... ZA PIENIĄDZE Z HAZARDU

W 2009 r. rząd ustanowił fundusz, finansujący rozwiązywanie problemów z uzależnieniem od hazardu, a od 2011 r. także leczenie innych uzależnień niechemicznych, czyli od gier komputerowych, komórek, pracy czy seksu. Pieniądze pochodzą w 3 proc. z wpływów z dopłat do gier objętych monopolem państwa.

BY OD PRESJI NIE DOSTAĆ DEPRESJI, CZYLI O TYM, JAK SIĘ REALIZOWAĆ I NIE ZWARIOWAĆ

JUSTYNA KUCZMIEROWSKA
psycholog

Mówienie ludziom „nie" jest wspaniałą rzeczą, jest to część przebudzenia. I zrozum, to nie jest egoizm. Egoizmem jest wymaganie od innych, by żyli życiem, które akurat tobie wydaje się najwłaściwsze. To jest egoizm. Żyć swoim życiem nie jest egoizmem

Anthony de Mello „Przebudzenie"

To nic trudnego stać się marionetką w rękach świata, tańczyć jak nam zagrają, osiągać to, co nam wskażą, wierzyć, że wspinanie się po kolejnych szczeblach kariery zawodowej da nam w końcu upragnione szczęście, załagodzi ból, będzie lekarstwem na zranienia, podniesie nasze poczucie własnej wartości, sprawi, że świat będzie lepszy, że zaspokoimy więcej naszych potrzeb, pomożemy innym. To nic trudnego biegać, by odpocząć, pędzić zamiast chodzić, pić kawę, gdy się chce spać lub by się obudzić, zwiększać swoją wydajność do poziomu stachanowca, pracować, uczyć się, kłaść się spać nad ranem, by zaraz znów biec do „wymarzonej" kariery i kolejnych sukcesów. To nic trudnego, bo presja jest wielka, by być ... zwycięzcą, by się realizować. To nic trudnego, ale nie na długo i nie dla każdego.

Co zrobić, byśmy poddani presji nie dostali depresji, nie stracili sił, zapału, chęci i wigoru, nie zmęczyli się, nie wykończyli, nie wypalili? Bo przecież przed nami do dobrego przeżycia całe życie.

FOTO flickr.com/bennett4senate CC

BĄDŹ ŚWIADOM PRESJI, A UNIKNIESZ DEPRESJI

Na nasze codzienne zachowanie, motywacje, uczucia wpływa wiele różnych czynników i sił – wielu z nich nie jesteśmy świadomi. Można je podzielić na te pochodzące ze współczesnego świat i osób z naszego otoczenia i na te wywodzące się z nas samych. Bardzo ważne jest bycie świadomym, w jakim kierunku pchają nas te siły. Dzięki temu bardziej świadomie będziemy podejmować decyzje, godzić się lub nie na przyjmowanie pewnych kierunków naszych działań, będziemy bardziej niezależni i korzystający z własnych standardów, a nie tych narzuconych.

Narysujmy więc grubą kreską szybki szkic presji wywieranej przez współczesny świat. Wyglądałby tak - konsumpcjonizm w tle, na pierwszym planie rzeczy materialne mające dać szczęście – mieszkanie, dom, samochód, pieniądze, piękne ubrania, uroda, szczupła sylwetka, spektakularna kariera, pieniądze, pozycja, stanowisko, pośpiech, sukces. Do tego naszkicowana zachęta, by człowiek miał to, czego chce i to go dobra. Pewne siły w nas każą nam udowodniać coś innym, wynikają z naszej chciwości, chęci odwetu, zaimponowania drugiemu, mogą być wynikiem zranień, czy niedostatków, których zaznaliśmy w dzieciństwie, wczesnej młodości. Może wychowywanie się w skromnych warunkach lub niedostatku uwagi ze strony ważnych osób sprawiło, że dziś wszystko chcesz mieć na tip-top, natychmiast, bez czekania. W tym rysunku z pewnością nie znalazłby się: spokój, cierpliwość, czekanie, wartości duchowe, pielęgnowanie relacji międzyludzkich, robienie rzeczy codziennych i zwyczajnych, dobrze przeżyte życie w zgodzie ze sobą. Co z tego bierzesz jako swoje? Co odrzucasz? Jaki rysunek świata Ty na co dzień tworzysz?

Presje wywiera również nasze wnętrze. Ważne jest więc ich rozpoznanie, świadomość i odpowiednie wykorzystanie dla naszego dobra, uszyte na miarę Twoich możliwości, talentów, wiedzy, zasobów, doświadczeń, potrzeb i też ograniczeń. Dlatego tak ważne jest bycie w dobrym kontakcie z samym sobą, poznawanie siebie, świadomość swoich mocnych i słabych stron. By się realizować i nie zwariować, musisz więc uwzględnić również siebie i to kim jesteś. Bo przecież z natury wynika, że innego klimatu, innenaganne, że chcesz być w centrum uwagi, najważniejszy. Niektóre z tych presji, sposobów ich realizacji zaskakująco nie pokrywają się z tym, czego tak naprawdę w głębi duszy pragniemy. No właśnie czego tak naprawdę pragniesz, co da Ci spełnienie?

USZYJ ŻYCIE NA MIARĘ A DOSTANIESZ BUTÓW WŁASNYCH PARĘ

Pamiętaj, że to czego pragniesz, jak żyjesz powinno być go środowiska, innego pożywienia, innego poziomu nasłonecznienia, aktywności, proporcji substancji odżywczych potrzebuje niedźwiedź polarny, żyrafa, foka, a jeszcze innego pająk, a te potrzeby zmieniają się również w zależności od etapu rozwoju. Bo tak jak pisał Anthony de Mello: „To, co dla jednego jest pożywieniem, jest trucizną dla drugiego. Słońce, które orłowi pozwala widzieć, oślepia sowę".

PROGNOZA PRAWDZIWA

Jesień jest i pozostanie piękna tego roku na obszarze całego kraju. To zasługa wyżu, który nadciągnął znad kancelarii premiera po tym, jak przedstawiono pomysł zadbania o naszą jesień życia. Nieliczne ciemne, deszczowe chmury zgromadziły się jedynie nad siedzibami Otwartych Funduszy Emerytalnych – tam mogą wystąpić nawet podtopienia. Na pozostałym obszarze słonecznie. Zwłaszcza w okolicach Zakładów Ubezpieczeń Społecznych – tam pogoda będzie na tyle przypominała tę letnią, że możliwe będzie nawet plażowanie. No, ale jeśli jednorazowo na konto ma wpłynąć kilkadziesiąt miliardów złotych, to można zorganizować sobie opalanie nawet w listopadzie.

Jeden z czołowych na świecie ośrodków meteorologicznych, a mianowicie Międzynarodowy Fundusz Walutowy, przedstawił niedawno długoterminową prognozę pogody dla naszego regionu, ze szczególnym uwzględnieniem obszaru Polski. Hmmm…, jakby te główne wnioski ująć, żebyście państwo nie popadli w depresję, jak nie przymierzając – Żuławy? Może tak: tsunami, trzęsienia ziemi, trąby powietrzne, potopy i sudańskie susze nam nie grożą. Uspokojeni? Super. Bo grozi nam coś bardziej niebezpiecznego. W naszej meteorologicznej terminologii zwie się to to „middle incom trap". To bardzo lekceważone, a zarazem niezwykle groźne paskudztwo. Przypomina stereotypową angielską pogodę - szaro, buro i ponuro, ale zawsze przecież może być gorzej, prawda? Efekt jest taki, że nic się nikomu nie chce. Bo jeśli faktycznie aż do 2017 roku temperatura nad polską gospodarką ma rosnąć tylko o 2,5 stopnia rocznie, to będzie to obezwładniająca pułapka. Za mało będzie w Polsce słońca, żeby nadrobić dystans do wciąż bogatszego w życiodajny tlen Zachodu, a wystarczająco dużo, by główne ośrodki meteorologiczne kraju wmawiały nam, że lato mamy w pełni.

POKOLENIE KIDULTS

MONIKA TOPPICH
studentka historii

Moje dziecko musi skończyć studia. Koniecznie. I zrobię wszystko, żeby mu to umożliwić – tak mogłaby brzmieć dewiza większości rodziców. Co jednak w przypadku, gdy studiowanie staje się sposobem na życie, a dorosłe już dzieci wciąż żyją na garnuszku rodziców? Oto pokolenie kidults

Agata od zawsze chciała zostać prawniczką – patrzyła na ojca cytującego przepisy. „Nie zastanawiałam się nawet nad innymi studiami – mówi dziś z lekkim rozbawieniem – dla całej rodziny i znajomych oczywiste było to, że będę pracować w sądzie i latać w todze". Jednak kiedy rozpoczęła studia, okazało się, że rzeczywistość nie jest już tak piękna i kolorowa jak konkursy w szkole średniej, a wkuwanie przepisów bynajmniej nie daje jej satysfakcji. „Nie potrafiłam wejść w sztywny prawniczy gorset i posługiwać się wyuczonym językiem. Zrezygnowałam. Nie chciałam się męczyć całe życie". Wywołało to burzę i rozczarowanie w rodzinie. Poszła na historię, nie wiedząc jednak co dokładnie zamierza po niej robić. Rodzice dalej ją finansują, bo przecież skończenie studiów jest najważniejsze. A ona? Jak skończy naukę, to coś wymyśli. Póki co mieszka z rodzicami, niedługo idzie na imprezę. Do magisterki jeszcze sporo czasu.

PÓŁDOROŚLI

Agnieszka po skończeniu studiów prawniczych zdecydowała się zacząć wszystko od początku i poszła na kolejne studia. Ale nie żałuje. „Teraz mam ten komfort, że mogę zawsze zrezygnować, nie mam przymusu żadnego. Moja przyjaciółka też jest po prawie i przez pół roku nie mogła nic znaleźć, dopiero niedawno wkręciła się w staż. Perspektywa, że po obronie będę siedziała nad moim "smutnym" dyplomem i z trudem coś znajdę była zbyt przygnębiająca. Szukałam czegoś już wcześniej, ale łatwo nie jest". Agnieszka dalej mieszka z mamą, studiuje. Zaczęła nawet szukać pracy, ale: "akurat mamy stabilną sytuację finansową, nie było przymusu, żeby iść do pracy. Mama raczej marudzi, że poszłam...". Dorosłość może kiedyś nastąpi.

Kasia rok temu zaczęła studia. Rodzice finansowali, bo wykształcenie to przecież podstawa. Potem zamieszkanie z chłopakiem, wciąż na garnuszku rodziców. On pracuje, ona ma jakieś stypendium, które wystarcza jej na ubrania. Podobnie jak Magda – rodzice dali mieszkanie, w którym żyje z chłopakiem, rodzice finansują studia. Próbowała nawet odrobinę pracować – jeden, dwa dni w tygodniu, ale zbyt szybko się męczyła. Zostały same studia i enigmatyczne plany na przyszłość.

MAMA PONAD WSZYSTKO!

Z danych Eurostatu wynika, że liczba osób w wieku 25-34 lata mieszkających z rodzicami i utrzymywanych przez rodziców wzrasta z roku na rok. Powodów jest wiele – brak pracy, kolejne studia, które jednak nie dają specjalnych perspektyw, strach przed samodzielnością. Trend ten nosi nazwę kidults – pół dorosłych, pół dzieci, które z jednej strony chcą być traktowane jak osoby dorosłe, ale z drugiej wolą, żeby mama ugotowała, posprzątała i dała kieszonkowe. W Stanach Zjednoczonych i Kanadzie mówi się o boomerang kids – pojechali na studia, ale po nich nie potrafili się usamodzielnić i wrócili do domu rodzinnego.

Dzieje się tak bardzo często za zgodą samych rodziców. Matka syna dorosłego deklaruje: „Mój syn się nie dorzuca do utrzymania, bo ja tego nie chcę. Wolę, żeby sobie coś kupił, gdzieś pojechał, na takie poważne życie przyjdzie czas, gdy założy rodzinę". Inni rodzice najchętniej „wypchnęliby" swoje dziecko w dorosłość zaraz po maturze. Ale zwykle są to wyjątki. Rodzice dorosłych dzieci zwykle tłumaczą swoje zachowanie w ten sposób - dzięki temu, że dziecko jest w domu, można sprawować nad nim kontrolę, dłużej ma się „pełny dom" i nie odczuwa się smutku po wyjściu dziecka w dorosłość, można ułatwić mu start, bo przecież pamięta się swoje trudne początki, dłużej ma się wrażenie młodości, bo „skoro ciągle mam w domu dziecko, to przecież jeszcze jestem młoda".

Być może dorosłość kiedyś przyjdzie. I dla dużych dzieci, i dla ich rodziców.

Rodzice dorosłych dzieci zwykle tłumaczą swoje zachowanie w ten sposób - dzięki temu, że dziecko jest w domu, można sprawować nad nim kontrolę

Koncept dostępny na urządzeniach mobilnych z systemem Android!

wkrótce na urządzeniach Apple i BlackBerry

Google play

pobierz tu fotokod bądź na stronie
www.gazetakoncept.pl

DWUTYGODNIK AKADEMICKI
koncept
WWW.GAZETAKONCEPT.PL

wszelkie uwagi prosimy kierować na e-mail: redakcja@gazetakoncept.pl

JAKIE STUDIA WYBRAĆ, BY **WYGRAĆ WYŚCIG SZCZURÓW**

MACIEJ BALCERZAK

jest radcą prawnym od lat pracującym w korporacjach, pełniąc funkcje dyrektorskie i managerskie, m.in. w Orange, Crédit Agricole, Ernst & Young. Jego książka „Planeta Korporacja - Jak przetrwać, zrobić karierę, zostać Prezesem" (The Facto, 2013) opisuje świat korporacji działających w Polsce. W praktyczny sposób opowiada jak tu pracować, przechodzić kolejne szczeble kariery, wreszcie zostać prezesem

Myśląc o karierze w korporacji, musisz mieć wpisane w CV wyższe studia, a przynajmniej tak ostatnio popularne licencjaty. Pytanie, jaki kierunek wybrać, by zdobyte wykształcenie rzeczywiście się przydało, a nie zamieniło w zakurzony, zapomniany, nikomu niepotrzebny dyplom leżący gdzieś w szufladzie z innymi papierami. Pamiętaj, że decyzja o wyborze studiów może mieć bardzo duży wpływ na Twoją późniejszą, rozłożoną na kilkadziesiąt lat, karierę

Co spowodowało, że zostałem prawnikiem, a w konsekwencji – radcą prawnym obsługującym korporacje, a później pracującym dla nich jako manager? Czy idąc na prawo i administrację na Uniwersytecie Warszawskim, myślałem, że kilkanaście lat później będę siedział w garniturze przy biurku, nawalał w klawiaturę komputera i rozmawiał jednocześnie przez komórkę i telefon stacjonarny? Gdzie tam, nic takiego nie chodziło mi po głowie. Postanowiłem zostać prawnikiem, bo uznałem, że egzaminy wstępne są na tyle łatwe, że powinienem je zdać. Oto, co zdecydowało o moich późniejszych losach. Nie powiem, jestem zadowolony, w sumie świetnie trafiłem, ale równie dobrze mógłbym zaliczyć życiową katastrofę. Ty, wybierając studia bądź rozsądniejsza(y) ode mnie, kieruj się znacznie bardziej racjonalnymi kryteriami.

TRUDNE DOBREGO POCZĄTKI

Najgorzej jest na początku kariery, kiedy nie masz za wiele amunicji w postaci argumentów i atutów mogących zainteresować potencjalnego pracodawcę. Wiadomo, żółtodziób ma najbardziej pod górkę, wiatr w oczy i tak dalej. Czasy, kiedy wystarczył język angielski, wyższe studia, chęć do pracy i w miarę dobrze poukładane w głowie, dawno się skończyły. Najprzeróżniejsze uczelnie prywatne i państwowe produkują masowo nowych magistrów i licencjatów po tak egzotycznych kierunkach jak kosmetologia. Wyedukowanych żółtodziobów jest zdecydowanie więcej niż szewców, krawców czy piekarzy, którym znacznie łatwiej znaleźć pracę. Kłopot w tym, że w korporacjach nie szukają rzemieślników. Tak duże nasycenie rynku skutkuje ogromną konkurencją i coraz większymi wymaganiami wobec kandydatów.

Kiedy pytam się moich młodszych znajomych, co studiują, często słyszę, że psychologię, pedagogikę, architekturę krajobrazu, archeologię, filozofię, czy kulturoznawstwo. Większość z nich deklaruje, że chce później spróbować kariery na planecie Korporacja, nie zdając sobie sprawy, że te kierunki nie dadzą im tak cennych na początku drogi dodatkowych punktów w stosunku do licznych konkurentów. Jakie w takim razie studia obstawiać? Najlepiej te, które istnieją setki lat i są bezpośrednio związane z prowadzeniem biznesu. Na przykład finanse, ekonomię (pieniądze były już u Fenicjan), prawo (już w Cesarstwie Rzymskim dorobili się znakomitego ustawodawstwa), ale także matematykę, fizykę, kierunki politechniczne. Absolwenci nauk ścisłych zasilają departamenty kontrolingu, finansów, bezpieczeństwa, rozmaitych kontroli i audytów.

Myślisz o pracy w przemyśle farmaceutycznym - wybierz farmację lub chemię, przydatną również w branży spożywczej. Z nowszych kierunków polecam informatykę. W świecie korporacji nowoczesne technologie odgrywają kluczową rolę, dlatego wszelkiej maści informatycy bez większych problemów znajdują tu pracę. Pamiętaj o tym, decydując o wyborze studiów, oczywiście pod warunkiem, że masz ku temu jakiekolwiek zdolności. Ja jestem totalnym beztalenciem i pewnie dlatego w pracy korzystam z usług informatyków przy każdej drobnostce.

ŻÓŁTODZIOBY W SPÓDNICACH GÓRĄ

Żyjemy w czasach różnorodności, parytetów, równego traktowania pracowników bez względu na płeć, wyznanie, orientację seksualną. Dlatego polskie korporacje, nie tyle z własnej woli, ale przymuszane przez zagranicznych właścicieli, wzięły na pierwszy ogień kwestię równouprawnienia kobiet w pracy. Do tej pory na planecie Korporacja w dyrektorskich i prezesowskich fotelach rozpychali się głównie faceci. Jednak od kilku lat kobiety są coraz częściej awansowane na managerów oraz obsadzane w zawodach wcześniej zarezerwowanych dla mężczyzn – jak informatycy, audytorzy, finansiści, analitycy biznesowi. Pomyślcie o tym dziewczyny! Zamiast studiować kosmetologię, lepiej iść na finanse, ekonomię, politechnikę, informatykę i potem składać papiery do korporacji. Zyskacie na starcie lepszą pozycję wyjściową w stosunku do chodzących w spódniach żółtodziobów. Poza samymi kierunkami zwracaj uwagę na uczelnię. Z paroma wyjątkami, odradzam uczelnie prywatne, powstało ich bardzo wiele, powyrastały jak grzyby po deszczu, dlatego nie mają dobrej renomy. Za to jak wpiszesz w CV Uniwersytet Warszawski, Uniwersytet Jagielloński, czy Szkołę Główną Handlową, na pewno wyróżnisz się na tle kandydatów z dyplomami prywatnych uczelni. Zdaję sobie sprawę, że i na państwowych studiach poziom nauczania bywa bardzo różny, ale Twoja w tym głowa, by wybierać lepszych, sprawdzonych profesorów i adiunktów.

FOTO Wikipedia.org/ CC KVDP

BEZ ANGIELSKIEGO ANI RUSZ

Niezależnie, jaki kierunek wybierzesz i jak potoczą się Twoje losy zawodowe, MUSISZ znać angielski. Angielski to język planety Korporacja. Już na rozmowie kwalifikacyjnej mogą sprawdzić jego znajomość. Przynajmniej dla mnie nie ma znaczenia, czy masz oprawione w ramki dyplomy i certyfikaty szkół językowych, czy nauczyła(e)ś się angielskiego oglądając w „Youtube" teledyski hip hopowców. Ważne byś umiał(a) się nim komunikować, zarówno w mowie i piśmie, bo w korporacjach pisze się potworne ilości maili. Uwaga, wpisując w CV skalę znajomości angielskiego, bądź krytyczna(y) wobec siebie. Lepiej, by rekruterzy z departamentów HR byli miło zaskoczeni, niż mocno rozczarowani, że zaznaczony w CV poziom „advanced" jest ledwie „pre-intermediate".

Nieznajomość języka angielskiego bardzo ogranicza możliwości kariery. Może z samym znalezieniem pracy na niższych stanowiskach nie powinno być jeszcze kłopotu, ale późniejszy awans, zwłaszcza na poziomie managerskim, będzie szalenie utrudniony. Pamiętaj, angielski to podstawa i czym prędzej zacznij się go uczyć. Tak samo z prawem jazdy, koniecznie zrób je jak najszybciej. Bez prawka nikt nie da Ci zatrudnienia na przykład w strukturach terenowych banku, z obowiązkiem objeżdżania placówek bankowych rozrzuconych od siebie wiele kilometrów. W ten sposób stracisz okazję na znalezienie pracy z (uwaga!) – autem służbowym do dyspozycji.

DO FOTELA PREZESA - DO BIEGU, GOTOWI, START

Zauważyłem, że większość studentów łączy naukę z pracą i bardzo dobrze, sam na studiach pracowałem jako dziennikarz. Spróbuj jednak znaleźć takie zajęcie, które będzie związane z wybranym przez Ciebie kierunkiem studiów, na przykład wielu studentów prawa, już na trzecim, czwartym roku dostaje angaż w firmach prawniczych. Rozglądaj się również za wszelkiego rodzaju stażami organizowanymi przez korporacje, to świetny sposób na znalezienie później zatrudnienia i rozpoczęcie wyścigu szczurów o fotel prezesa. ■

SPRZEDAWCY **LEPSI NIŻ CIA**

JAROSŁAW GAJEWSKI
wicenaczelny "Konceptu"

Niebawem o Twojej zdolności kredytowej może decydować to, kogo masz w gronie przyjaciół na Facebook'u oraz jaki kierunek studiujesz i na jakiej uczelni

16-letnią Mary bardzo ucieszyła przesyłka zaadresowana specjalnie do niej. Szybko jednak jej zadowolenie zamieniło się we wściekłość. Jedna z amerykańskich sieciówek kosmetycznych przesłała jej bowiem list gratulacyjny z powodu pierwszego trymestru ciąży, dołączając zestaw kosmetyków pielęgnacyjnych dla kobiet spodziewających się dziecka. Wściekła dziewczyna pobiegła do swego ojca prawnika, a ten najpierw rozkręcił aferę w mediach, a potem zażądał publicznych przeprosin od nadawcy przesyłki. Firma szybko przeprosiła. Kilka dni potem dziewczyna odebrała wyniki badań – ku swemu i rodziców zaskoczeniu dowiedziała się, że jest w pierwszym trymestrze ciąży. Jednak o tym, że jest przy nadziei, pierwszy poinformował ją zakupiony przez sieć kosmetyczną system IT, śledzący zwyczaje zakupowe klientek.

*****

Fragment rozmowy dwóch kumpli: - Wiesz, że duże przeglądarki analizują strony internetowe, które odwiedzasz i na tej podstawie wyskakują potem reklamy skierowane do Ciebie? – To by się nawet zgadzało, bo ostatnio dostaję sporo ofert zachęcających mnie do zakupu damskiej bielizny.

KORPORACYJNE PODNIECENIE

- Big Data, Big Data, Big Data... – na punkcie tych dwóch słów zwariowali ostatnio ludzie z korporacji sprzedażowych (telekomunikacyjnych, bankowych, spożywczych, odzieżowych, samochodowych, etc.). Łatwo się domyślić, że zaraza ta znowu - podobnie jak big crisis A.D. 2008 – nadciągnęła do Europy zza Atlantyku. Teraz jednak, zamiast bankructw firm i lamentu klientów, ma przynieść korporacjom i wszelkiej maści sieciówkom krociowe zyski, a ludziom - oferty zakupowe skrojone na miarę, niczym garnitur szyty u krawca na zamówienie. W wielkim uproszczeniu, Big Data to wszystkie dane, jakie znajdują się w sieci. To samo w samo jeszcze nic nowego. Wszystkie korporacje sprzedażowe od lat dysponują już potężnymi hurtowniami informatycznymi, gdzie gromadzone są wszelkie wiadomości o tym, jak, kiedy i na co wydajemy pieniądze. W przypadku np. banków, doświadczamy tego co miesiąc otrzymując podsumowanie miesięcznego lub tygodniowego wyciągu ze swojego konta. Rewolucji mają dokonać, powstającą teraz jak grzyby po deszczu, systemy IT potrafiące te informacje wykorzystać do tworzenia profilu klienckiego każdego z nas – swoistego porteru pamięciowego. Tylko zdecydowanie bardziej precyzyjnego, przedstawiającego nie tyle kolor oczu, rodzaj fryzury oraz nie tylko śledzący naszą kondycję finansową, co dokładnie definiujący nasze psyche: przyzwyczajenia, słabostki, preferencje, podatność na wpływ reklam, a nawet zmienność nastrojów. Poznają nas lepiej niż psychoterapeuta podczas 10 indywidualnych sesji w jego gabinecie.

ARTYLERZYSTÓW ZASTĄPIĄ SNAJPERZY

Do niedawna strzelano do nas wszelkiej maści ofertami jak z artylerii – nie wiedząc dokładnie do kogo, liczyła się głównie siła zbiorowego rażenia. To już passe – teraz nadchodzi czas snajperów: pojedynczy strzał oddany do konkretnej osoby w dobrze zdefiniowanym czasie i celu. Jak to będzie możliwe? Coraz więcej czasu spędzamy w sieci, coraz więcej śladów po sobie w niej zostawiamy, coraz częściej dokonujemy w niej czynności „wrażliwych", takich jak np. transakcje zakupowe w e-sklepach. Zsieciowani już jesteśmy nie tylko używając komputera, ale też telefonu, smartfonu, tableta oraz telewizyjnej plazmy. Nie jest wcale przypadkiem, że w ostatnim czasie wiele światowych e-marek poinformowało swoich użytkowników, że zamierza wymieniać się (czytaj: sale) danymi swoich użytkowników w celach marketingowych. To właśnie ma ułatwić tworzenie naszych bardzo spersonalizowanych profili konsumenckich. Facebook, Google, Twitter, Instagram są skarbnicą wiedzy o nas na co dzień, a my coraz mniej stajemy się oporni przed odzieraniem samych siebie i nas przez innych z prywatności w sieci. Kiedy niespełna rok temu Instagram obwieścił, że wrzuconymi przez jego użytkowników zdjęciami może dowolnie rozporządzać, liczba użytkowników serwisu spadła wprawdzie o 10 proc. (ze 100 mln do 90), ale po kilku miesiącach znowu pękła mu „setka". Ba, nawet szacowny brytyjski Barclays Bank oznajmił swoim klientom, że będzie sprzedawał dane dotyczące ich zwyczajów zakupowych, łącznie z nagraniami rozmów telefonicznych z pracownikami bankowej infolinii.

ZADZWONI DO MNIE SCARLETT JOHANSSON?

Nasze logowania, pliki cookies, transakcje on-line, aktywność na portalach społecznościowych będą mielone, analizowane przez systemy IT korporacji sprzedażowych. W przypadku studentów, wiele firm przymierza się do ich segmentacji marketingowej biorąc pod uwagę uczelnię, na której studiują i studiowany kierunek. Ta rewolucja ma skutkować budowaniem przewag konkurencyjnych poszczególnych korporacji sprzedażowych nad resztą rynku. Amerykańskie przykłady są dla europejskiego świata biznesu zachęcające – np. ponad 95 proc. udzielonych kredytów przy pomocy rekomendacji systemów IT okazało się trafionych i są terminowo spłacane. Nie zdziwcie się zatem, jak wkrótce po odwiedzeniu trzech stron arabskich, otrzymajcie oferty zakupu: szarawarów, fajki wodnej, turbanu, czy wyrzutni rakietowej do zainstalowania na pick-upie. Zalety dla korpo już znamy, ale czy są jakieś zalety dla nas - klientów? Owszem. Oznacza to mniej inwazyjnych napaleńców dzwoniących do nas od rana do wieczora z przeróżnych infolinii – kuszenie przeniesie się do sieci, a jeśli już będą dzwonić, to sami będziemy zaskoczeni, że proponują zakup z rabatem butów, które wczoraj oglądaliśmy w e-sklepie. Co inteligentniejsze banki, sieciówki, telekomy poznawszy nasze zwyczaje zakupowe, będą też oferowały nam zindywidualizowane zniżki (np. dla moli książkowych w księgarniach, w których najczęściej robią zakupy). Tak będą budowały sobie naszą lojalność, choć same nazywają to „wychowaniem klienta". – To może... jak będę oglądał przez trzy dni w sieci zdjęcia Scarlett Johansson, to zadzwoni do mnie jej agent i zaproponuje mi z nią kolację? – rozmarzył się znajomy, kiedy rozmawialiśmy o Big Data. – Prędzej dostaniesz maila od polskiego dystrybutora jej filmów z promocyjną ofertą zakupu DVD-boxu. No i wpierdziel od żony, ale to już free – sprowadził go na ziemię przyjaciel. ■

Wszystkie korporacje sprzedażowe od lat dysponują już potężnymi hurtowniami informatycznymi, gdzie gromadzone są wszelkie wiadomości o tym, jak, kiedy i na co wydajemy pieniądze

TRUMNY, KTÓRE RZĄDZĄ EKONOMIĄ

Jakiś czas temu obecny minister finansów ogłosił, że musiał niestety zostać keynesistą. Ogłosił to podnosząc podatki i tłumacząc tym konieczność łatania dziury budżetowej. Tyle, że John Maynard Keynes był gorącym zwolennikiem niskich podatków, nawet kosztem zwiększania owej dziury. Dwudziestowieczni prawicowcy, a także radykalni lewicowcy, określali niekiedy Keynesa mianem komunisty. A on sam uważał, że jego program ma stanowić tarczę przed zwycięstwem radykalnej lewicy na Zachodzie. Na Hayeka powołują się chętnie skrajni zwolennicy wolnego rynku, albo anarcholiberałowie, niepomni, że austriacki ekonomista był chociażby zwolennikiem powszechnego ubezpieczenia zdrowotnego i planistyki miejskiej. Cóż, taki los legend.

Nikt nie wywarł takiego wpływu na XX-wieczną ekonomię, jak ci dwaj dżentelmeni, toczący ze sobą pojedynek za życia i po śmierci. Może jeszcze poza Miltonem Friedmanem, na nikogo i ekonomiści, i domorośli znawcy tajników rządzących światowymi rynkami i pieniędzmi tak często się nie powoływali.

Nicolasowi Wapshottowi, znanemu brytyjskiemu dziennikarzowi ekonomicznemu i autorowi biografii między innymi Margaret Thatcher, udała się rzecz niełatwa. Pokazał, bez upraszczania, o co chodziło w konflikcie dwóch wielkich ekonomistów budując zarazem ich barwne sylwetki z piękną sceną, gdy obaj ekonomiści razem spędzali zimną noc na dachu jednego z oksfordzkich koledżów wypatrując niemieckich bombowców. A który z nich dziś wygrywa? Wapshott daje wskazanie na Keynesa. Ale, jak stwierdził ten ostatni: w ekonomii nie można przekonać przeciwnika, że popełnił błąd, można go jedynie o to oskarżyć. A więc, walka trwa najlepsze. ■

Nicholas Wapshott, „Keynes kontra Hayek" wyd. Studio Emka, 2013

KIEDY PRACOWNICY **RZĄDZĄ FIRMĄ**

BARBARA ACHER-CHANDA
antropolog kultury, dziennikarka specjalizująca się w tematyce społecznej i kulturalnej

Czy da się robić dobry biznes, pozwalając pracownikom na współzarządzanie firmą? Czy można wykonywać pracę bez poczucia frustracji i przeświadczenia o braku wpływu na działanie firmy? Czy da się odnieść sukces, opierając się na zaufaniu do ludzi? Rozwiązaniem jest pełna partycypacja w zarządzaniu

Ricardo Semler wiedział jedno – nie zamierza iść w ślady swojego ojca, który stał na czele brazylijskiej firmy stoczniowej Semco. Fakt, miał talent do robienia pieniędzy, ale raczej widział siebie na estradzie jako rockmena niż wbitego w garnitur potentata przemysłowego. W końcu, niemal trzydzieści lat temu, zgodził się spełnić oczekiwania ojca. Postawił jednak warunek, że podejdzie do rodzinnej firmy na swój sposób. Na dzień dobry zwolnił większość kadry menadżerskiej, ujawnił pracownikom finanse przedsiębiorstwa, po czym zabrał się za reformowanie zarządzanej do tej pory autokratycznie firmy. Celem miało być takie zarządzanie ludźmi, żeby czuli się oni współwłaścicielami Semco, a jednocześnie obudzili w sobie przedsiębiorczość. Pracownicy wszystkich szczebli zaczęli decydować o zasadach wynagrodzenia, godzinach pracy, rekrutacji, współdecydować o dalszych losach firmy. Semco jest dziś jednym z najbardziej dynamicznie rozwijających się przedsiębiorstw w Brazylii.

Semler miał wizję – wierzył, że jego pracownicy to ludzie wolni, gotowi wziąć odpowiedzialność za sukces swój i miejsca, w którym są zatrudnieni. Że w dobrze komunikującym się zespole menadżer będzie potrzebny nie jako nadzorca, lecz trener, doradca, wskazujący możliwe rozwiązania.

Sprawiedliwość, zaangażowanie, wiara w samodzielność i odpowiedzialność pracowników to idee, które z powodzeniem realizuje również w swoich strukturach Gore-Tex, amerykańska firma innowacyjna W. L. Gore & Associates. Podobnie jak w przypadku Semco nie istnieje tam sztywna struktura stanowisk, a pracownicy sami decydują, kto będzie nimi zarządzał.

Takich firm jest na świecie więcej. I choć różnią się między sobą detalami rozwiązań, to łączy je danie możliwości pracownikom realnego wpływu na kształt firmy i potraktowanie ich jako współprzedsiębiorców, a nie tylko niewolników generujących nadwyżki finansowe. Stąd polska nazwa metody – pełna partycypacja w zarządzaniu (Total participation in management). **Władza, ale i odpowiedzialność dostępna zwykle tylko kadrze kierowniczej, jest w tym sposobie zarządzania w rękach wszystkich pracowników, od których zależą zyski firmy, a co za tym idzie ich własne pensje.** Żeby jak najlepiej zarządzać wspólną własnością, muszą się oni efektywnie dzielić ze sobą wiedzą zarówno o źródłach swoich sukcesów, jak i porażek.

Takie przedsiębiorstwa działają też w Polsce. Nie jest ich jeszcze wiele. Polacy zwykle nie mają świadomości o istnieniu rozwiązań, które z powodzeniem sprawdziły się za oceanem. A nawet jeśli, to z niepokojem myślą o możliwości oddania losów firmy w ręce nieznających się na twardych zasadach biznesu pracowników. Ale w tej metodzie nie chodzi o demokratyzację, ale o podniesienie kompetencji biznesowych wszystkich pracowników. Efekty są imponujące.

Podczas kiedy polityczna demokracja się degeneruje, zaczyna sprawdzać się w zarządzaniu firmami

FOTO blog.occupielondon.org CC

W POLSCE TEŻ **SĄ TAKIE FIRMY**

RYSZARD STOCKI

profesor Wyższej Szkoły Psychologii Społecznej, Wydziału Zamiejscowego w Katowicach, współautor książki „Pełna partycypacja w zarządzaniu", współzałożyciel Instytutu Karola Wojtyły

Czy pełny udział w zarządzaniu, metoda, dzięki której Ricardo Semler zbudował swoją potęgę, może się sprawdzić i w Polsce?

- Może, ale nie w każdym przypadku. Głównie sprawdza się w małych i średnich firmach. W dodatku wykorzystywanie w biznesie pełnej partycypacji wymaga czasu, otwartych, poszukujących, wyedukowanych ludzi, którzy nie ulegają łatwo totalizmowi i indywidualizmowi. Szukałem takiego miejsca na rynku i uważam, że póki co ta filozofia zarządzania nadaje się najlepiej dla sektora zaawansowanych technologii, w telekomunikacji, internecie.

I sprawdza się?

- Są przykłady: krakowska firma zajmująca się serwisami internetowymi xtech.pl, firma deweloperska Ekolan z Gdyni, blisko pełnej partycypacji jest warszawska firma pronet.pl zajmująca się obsługą sieci komputerowych i dystrybucją produktów Apple. Ale to sposób zarządzania nie dla każdego. Wymaga wiedzy, dużych kompetencji osobowych, interpersonalnych, społecznych i biznesowych, a niekoniecznie pieniędzy. Inaczej jest też w tym sposobie pojmowany sukces. Nie chodzi o to, ile firma zarabia, ale czy jej pracownicy są zadowoleni ze swojego życia i rozwoju. To jest dla niektórych ludzi problem. Zdarza się, że ktoś budował firmę przez dwadzieścia lat, nie dojadał, nie widywał rodziny, musiał się rozwieść, bo żona miała dość biznesu. A ja przychodzę i namawiam go, żeby teraz podzielił się władzą z pracownikami. Dla takiej osoby to zbyt duża rewolucja, wymagająca heroizmu myślenia. Zwykle wtedy potrzebny jest mentoring, aby pokazać jak to robić.

Czy to oznacza, że firmy zarządzane zgodnie z zasadą pełnej partycypacji nie mogą odnieść sukcesu finansowego?

- Firmy z pełną partycypacją dobrze stoją. Przynajmniej do czasu, jak są wierne swoim ideałom. Dzięki zaangażowaniu całego zespołu nie ma w nich dziur, przestojów, w pełni wykorzystują dostępne możliwości i zasoby. Ludzie zatrudnieni w firmie czują się za nią współodpowiedzialni, a to generuje niesamowite efekty biznesowe. Ale to nie o pieniądze tutaj chodzi. Sukces finansowy nie jest tutaj celem, tylko produktem ubocznym.

Co w takim razie może zyskać biznesmen, który zdecyduje się pójść w ślady Ricarda Semlera?

- Pełna partycypacja to nie jest tylko forma organizowania przedsiębiorstwa, ale filozofia związana ze stylem życia. Ktoś, kto zdecyduje się na uczestnictwo, zyska dzieci, które będą miały z nim kontakt. Będzie miał przyjaciół podobnych do siebie, którzy mu będą wierni nie tylko kiedy będzie zarabiał i robił imprezy. Odnajdzie ludzi myślących podobnie jak on, na całym świecie. Poza tym, w tych firmach nie chodzi o to, aby elita dzieliła się z innymi, jak to bywa w firmach paternalistycznych, ale o to, aby każdy człowiek chciał i miał się czym dzielić z innymi. Jest to więc skrajnie liberalne podejście, w którym każdy pracownik jest biznesmenem. I będzie mógł spokojnie zasypiać wiedząc, że dokonuje własnych wyborów. Ale takich ludzi, którym by zależało nie na szybkim zysku, tylko na współdzieleniu się, podejmowaniu współodpowiedzialności za firmę, za resztę zespołu, jest bardzo mało. Nie znaczy to, że ich nie ma. Kiedyś spytałem ludzi z xtech.pl, co zrobią, jak im się nie uda wytrwać w obecnym biznesie. Powiedzieli, że założą przedszkole. Dla nich ważniejsze od branży jest to, żeby mogli dalej pracować w taki sposób, jak to robili dotąd.

Rozmawiała
Barbara Acher-Chanda

ZAPOMNIANY TRIUMF

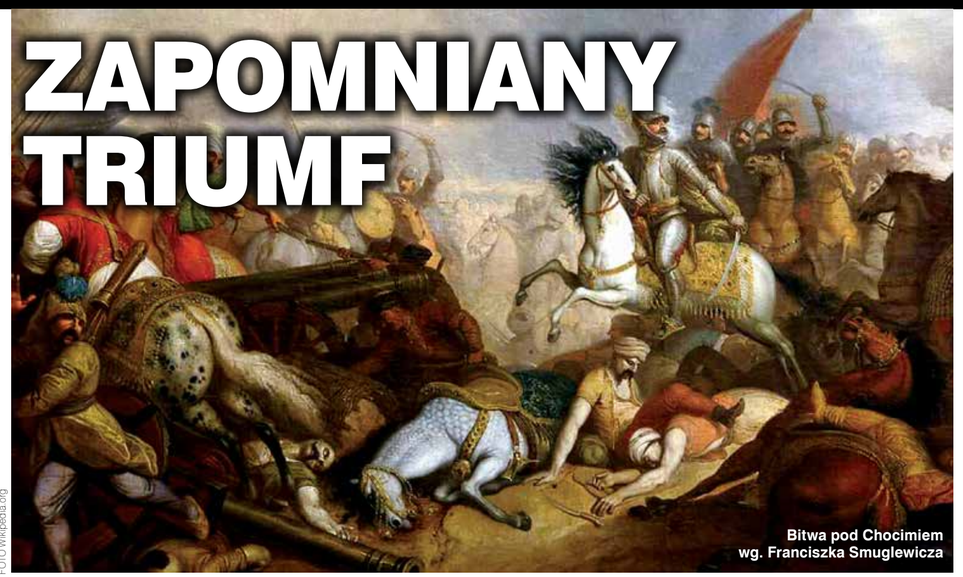

Bitwa pod Chocimiem wg. Franciszka Smuglewicza

FOTO Wikipedia.org

MATEUSZ ZARDZEWIAŁY
student europeistyki na UKSW

11 listopada to nie tylko rocznica odzyskania niepodległości w 1918 roku, ale i 440. rocznica zwycięstwa pod Chocimiem – podobnie jak inne wielkie triumfy oręża Pierwszej Rzeczpospolitej – coraz bardziej zapomnianego

Jeśli prawdą jest, że historię piszą zwycięzcy, chwytajmy za pióra, facebooki, twittery. Nieobecność w powszechnej świadomości potyczki chocimskiej, jak i wielu innych zwycięstw naszych dziadów, powinna być dla współczesnych powodem do wstydu. Przecież zwycięzcy to my!

Październik roku 1672 nie zapisał się złotymi zgłoskami w polskiej historiografii. Targające Rzeczpospolitą szlachecko-magnackie uszczypliwości naruszyły i tak już wątły system odpornościowy kraju. A że okazja czyni złodzieja, wrogi wirus osmański błyskawicznie zaatakował Polskę. Podpisany wówczas pokój buczacki raczej nie mógł być powodem do dumy – zgodnie z jego zapisami traciliśmy istotną część wschodnich ziem i zobowiązaliśmy się do płacenia corocznego haraczu mało wyrafinowanemu przeciwnikowi.

Wprowadzenie pokojowych zapisów w życiową praktykę oznaczałoby faktyczne oddanie kraju w lenno schodzącym dopiero z cywilizacyjnych drzew (byli w połowie drogi) przeciwnikom.

Jako że w XVII wieku public relations był raczej w powijakach i możni średnio wiedzieli, jak porażkę nazwać sukcesem, mniejszym złem, tudzież mądrością etapu, sięgnęli po znane od wieków i wypróbowane przez pokolenia rozwiązanie – otóż wzięli głowę, a następnie nią ruszyli. Efekt mógł być tylko jeden, tradycyjnie Polski – szlachta jednoznacznie pokazała, że haniebny pokój poważa, mając go w miejscu, w którym plecy tracą swą szlachetną nazwę. Zamiast ratyfikacji ustalono więc dodatkowe podatki na wojsko i – voila!.

Oczywiście nietrudno zgadnąć, że takie działania wpłynęły deprymująco na Turków. W kraju powstała gorączka – dobry znak świadczący o walce organizmu. Dodatkowe podatki, powiększenie armii i wszystkie te działania, które zazwyczaj podejmowane były w podobnych chwilach, a o których niestety milczy WikiLeaks. Niemniej doprowadziły one wojska koronne wspomagane litewskimi posiłkami pod Chocim. Ten sam Chocim, który w roku 1621 nasza armia bohatersko broniła przed turecką nawałnicą.

Trudno jednak ukryć, że przez te lata nieco wody w Wiśle upłynęło, zaprowadzając przy okazji kilka istotnych zmian. Gdy w listopadzie 1673 roku polskie proporce zaczęły powiewać pod twierdzą, role były odwrócone. To nasi dzielni wojowie znaleźli się na pozycjach ofensywnych. A gotowa do ataku husaria oznaczać mogła tylko jedno – paniczny, wszechogarniający strach wrogów. Nie ma w tym nic dziwnego! Jeśli Polak ma pod ręką broń, a w zasięgu wzroku – wroga, zdecydowanie mało rozsądnym pomysłem jest bycie tym wrogiem. Pech Turków polegał na tym, że nie rozumieli tego prostego równania.

Dowodzący niewiernymi Hussejn basza już wkrótce miał osobiście przetestować najszybszą drogę odwrotu spod zasięgu mieczy czcigodnych, nadwiślańskich mężów. Mając 35 tysięcy ludzi pod rozkazami (warto nadmienić, że Mołdawianie w sile liczącej 5-6 tys. zbrojnych szybko zdecydowali się przejść na stronę Rzeczpospolitej), rozpoczął on formowanie szyków obronnych, korzystając między innymi z polskich umocnień pamiętających czasy poprzedniej bitwy chocimskiej. 10 listopada niewielkie oddziały rodzimego wojska nadszarpnęły linie obronne Turków. Rajd z góry skazany na porażkę, co nie było dla dowódców żadną tajemnicą. Niemniej jednak to działanie taktycznie znaczyło wiele – fortel pozwolił na zdobycie istotnych wiadomości na temat rozmieszczenia wrogiej armii. Nie był to ani pierwszy, ani też ostatni przejaw wojennego geniuszu i bohaterskiej brawury szanownego Jana Sobieskiego.

Kilkaset lat temu niektórzy nie wiedzieli nic o globalnym ociepleniu. A już na pewno nie miał o nim pojęcia genialny wódz, słusznie stwierdzając, że „Turcy są wrażliwsi na zimo i na niewczasy wojenne, aniżeli Polacy". Dodając do siebie te elementy – a rzecz działa się w listopadową noc! – wystawił gotowe do ataku linie na całonocną wartę. Jednak, jak przystało na bohatera, sam nie schował się do ciepłego kącika. Przechadzając się dumnie wśród wojów, dodawał tak potrzebnej otuchy. Wzbudzał też uczucia braterstwa i miłości wśród podkomendnych.

11 listopada 1673 roku. Dzień nieśmiało prosi słońce o chwilę dla siebie. 30-tysięczna armia bohaterów czeka w napięciu. Osacza wroga szerokim łukiem. Nagły krzyk – to przemawia dowódca. Kończąc daje wojom cenną wskazówkę – „Żołnierzu, bij poganina i zwyciężaj!". Nikt nie śmie zgłosić najmniejszych wątpliwości. Polacy nie znają haniebnego słowa klęska. O strachu słyszeli tylko urywane szepty wśród wrogów.

Ziemia zadudniła pod butami bohaterskiej piechoty. To żołnierze Najjaśniejszej Rzeczpospolitej. Biegną na zgubę wrogów. Przypomnieć im kto jest panem tej ziemi. Już są na wałach obronnych. Zdobywają wrogie pozycje. Spychają Turków. Spychają bez chwili wytchnienia. Robiąc miejsce dla konnych. Wśród nich elita – Husaria. Na jej widok sam Achilles osobiście godzi się w piętę. Co dopiero mierni Turcy!

Nagle wrogowie przypominają sobie o pozostawionym na gazie mleku. W pośpiechu opuszczają więc miejsce potyczki. Prym wiedzie dowódca, Hussejn pasza. Jedyna droga odwrotu – most na Dniestrze – cieszy się ogromną popularnością. Nie pozostaje również obojętny dla polskich armat. Nagły trzask – i tu historia przeprawy dobiega końca. Wraz z nią, w lodowatej rzece dogorywa kilkuset Turków. Wielu z rozpaczy skacze w nurt.

Wiktoria Rzeczpospolitej jest bezsprzeczna. Sława o Janie Sobieskim, wielkim pogromcy niewiernych obiega i onieśmiela europejskie dwory. Zewsząd płyną gratulacje. Dzień przed bitwą umiera Michał Korybut Wiśniowiecki, z Bożej Łaski Król Polski. Chocimskie zwycięstwo wskazuje jednoznacznie, kto godzien jest sukcesji tronu.

Chwała oręża polskiego jest bezsprzeczna, a pamięć o niej nie zasługuje na podtrzymywanie. Zasługuje na intensywne eksponowanie! I jedna z tablic na warszawskim Grobie Nieznanego Żołnierza milcząco przypomina o miejscu chocimskich zwycięzców w panteonie narodowych bohaterów.

Nagle wrogowie przypominają sobie o pozostawionym na gazie mleku. W pośpiechu opuszczają więc miejsce potyczki. Prym wiedzie dowódca, Hussejn pasza. Jedyna droga odwrotu – most na Dniestrze – cieszy się ogromną popularnością. Nie pozostaje również obojętny dla polskich armat

NIEZNANE LUDOBÓJSTWO NA POLAKACH

Jedyną enklawą, w której czuliśmy się bezpiecznie był kościół. W nim byłem ochrzczony i przystąpiłem do I komunii św. i bierzmowania. Przez wiele lat służyłem w nim też jako ministrant u boku księdza Wierzbickiego, wspaniałego kapłana, ogromnie oddanego dla tambowskiej wspólnoty. W najtrudniejszych sowieckich czasach skupiał wokół siebie, mimo zakazów władz, dzieci i młodzież. Zapamiętałem go na całe życie. Stale przed oczami mam też wygląd kościoła. Był w nim wspaniały dębowy ołtarz, ambona i wykonane na specjalne zamówienie krzesła. Przychodziłem do niego na nabożeństwa z rodzicami, którzy byli bardzo religijni. Mamie zawdzięczam nie tylko przekazanie wiary, ale również polskości. Dzięki temu, dzisiaj, chociaż rzadko mam okazję do posługiwania się językiem polskim, potrafię się jeszcze w nim jako tako dogadać. Kościół został zamknięty w 1935 r., księdza Wierzbickiego aresztowano i rozstrzelano. W 1937 r. GPU aresztowało część wiernych i także rozstrzelało - oskarżając o kontrrewolucyjną działalność. Ja także w 1938 r. zostałem aresztowany i skazany na 10 lat łagru. Można powiedzieć, że miałem szczęście, też przecież mogłem dostać kulę w tył głowy. Trojka GPU uznała chyba, że jako młody i silny bardziej przydam się na budowach Dalekiego Wschodu.

Oto fragment jednej z wielu relacji Polaków, którzy jako dzieci mieszkające w ZSRR doświadczyli na sobie skutków tak zwanej „operacji polskiej". Dr Tomasz Sommer, znany dziennikarz i socjolog, udowadnia, że w latach 1937-1938 w ZSRR z rozkazu Stalina doszło do czystki etnicznej na Polakach. Do tej pory mordy te traktowano jako elementy innych czystek stalinowskich, jak choćby akcji rozkułaczania wsi. Sommer dowodzi, że mieliśmy do czynienia również z planową czystką, gdzie kryterium mordów było polskie pochodzenie.

Tomasz Sommer, „Dzieci operacji polskiej mówią. 45 relacji świadków sowieckiego ludobójstwa z lat 1937-1938", 3SMedia, Warszawa 2013

LUBIĘ LUDZI, ALE NIE WSZYSTKICH

Katarzyna Dowbor w rozmowie z „Konceptem" mówi o swojej najnowszej książce, o tym, jak zawodziła się na przyjaciołach, kto w TVP jest gburem i dlaczego przyjaciół trzeba szukać poza pracą

ŹRÓDŁO Wydawnictwo The Facto

„Mężczyźni mojego życia". Tytuł sugeruje, że Pani książka jest swego rodzaju erotycznym pamiętnikiem.

Ten tytuł jest podstępny. Na miarę dzisiejszych czasów. A te są bardzo plotkarskie. Media są rozplotkowane jak nigdy. Cóż, z koniem nie ma co się kopać, trzeba się dostosować do trendu. A mówiąc nieco bardziej patetycznie: iść z duchem czasu. Świat nam się stabloidyzował, o czym piszę we wstępie do książki. Ale tak naprawdę tytuł jest przewrotny i nie do końca prawdziwy. Owszem, opowiadam w książce o mężczyznach, którzy odegrali ważną rolę w moim życiu zawodowym i prywatnym. Ale to przede wszystkim zbiór zabawnych historii i anegdot z przeszłości. Ci, którzy będą szukać łóżkowych zwierzeń mogą być nieco rozczarowani.

Wyobraża sobie Pani wydanie książki o takim tytule 30 lat temu, gdy zaczynała pani pracę w mediach?

Absolutnie nie. Wtedy nikogo nie interesowało, co jedzą ludzie znani z telewizji, albo z kim sypiają. Sfera prywatna pozostawała poza zasięgiem mediów. To były – przynajmniej pod tym względem – naprawdę fajne i sympatyczne czasy. Dzisiaj jest zupełnie inaczej. Tradycyjne dziennikarstwo umiera, a może nawet już umarło. Media są dzisiaj powierzchowne, większość dziennikarzy idzie na łatwiznę. Zazwyczaj to ignoranci, którzy niewiele wiedzą i nie chcą się więcej dowiedzieć. Choć oczywiście nie wszyscy są tacy. Prowadzę zajęcia na wydziale dziennikarstwa Uniwersytetu Warszawskiego i wiem, że studiuje tam wielu inteligentnych ludzi z pasją. Ale medialny system nie potrzebuje prawdziwych dziennikarzy. Już raczej mistrzów manipulacji. Teraz wygrywają najbezczelniejsi.

„Mężczyźni mojego życia" to pani autobiografia?

Zdecydowanie nie. Na tę jeszcze przyjdzie czas. Po prostu chciałam napisać bezpretensjonalną książkę, okraszoną wesołymi historyjkami, które pozostały w mojej głowie. Czasem opowiadałam je w towarzystwie i widziałem, że dostarczały ludziom sporo śmiechu i radości. Pomyślałam: to niech inni też się pośmieją.

Dlaczego książka powstała teraz?

Bo miałam czas. Przeżyłam coś, czego nikomu nie życzę. Po 30 latach wyrzucono mnie z pracy. Miałam moment załamania, jak to kobieta przelałam trochę łez. Niepokoiłam się, co będzie dalej. A muszę myśleć nie tylko o sobie, ale i córce, którą wychowuję. W końcu wzięłam się w garść i postanowiłam wykorzystać ten czas, który został mi dany. Zresztą okazało się, że nie miałam go tak dużo. Szybko – po raz pierwszy w życiu – wystartowałam w castingu do programu dla Polsatu. Nie wiedziałam, jak to się robi, ale wygrałam. Nie wiedziałam też, że wygrywanie castingu jest takie łatwe.

Zmiany są dobre. Nie należy ich się bać. Tego się ostatnio nauczyłam. Natomiast z oddalenia widzę, że moja TVP, w której tak długo pracowałam, zmieniać się nie potrafi. Stała się skostniała. Niestety.

Świetnie radzi sobie Pani obecnie w Polsacie. Ale czy wyobraża Pani sobie powrót na Woronicza?

Teraz? Przy obecnych władzach? Absolutnie nie. Musiałoby się tam wiele zmienić. Natomiast nie ukrywam, że jestem bardzo zżyta z tą firmą. Mam do niej ogromny sentyment. Przeżywałam w niej wiele wspaniałych chwil, no i po prostu to kawał mojego życia. Bardzo długo to był mój dom, w którym spędzałam więcej czasu niż we własnym mieszkaniu. TVP zawsze będzie zajmować szczególne miejsce w moim sercu.

A co trzeba by zmienić w Telewizji Publicznej, by wróciły do niej tłuste lata? Gdyby była Pani prezesem, co by Pani zrobiła?

Przede wszystkim zaczęłabym jeść posiłki na stołówce, razem z innymi pracownikami. W tej chwili kelnerzy zawożą obiady prezesom windą, gdzieś do gabinetów, w których ci się ukrywają i z których prawie nigdy nie wychodzą. Nie ma najmniejszej więzi między szefem i podwładnym. Często ci pierwsi nie mają zielonego pojęcia o tych drugich. Kiedy nastaje nowy dyrektor, nawet nie spotyka się ze swoimi podwładnymi. Nie jest ciekaw ani ich, ani ich pomysłów, ani tego, co mają do powiedzenia. W takich warunkach trudno o poczucie jakiejkolwiek wspólnoty. A kiedyś tak nie było. TVP była dobrem wspólnym, a jej prezes Janusz Zaorski jadał obiady razem z pracownikami, o czym piszę „W mężczyznach mojego życia". Nie bał się ich, normalnie z nimi rozmawiał. Te czasy powinny wrócić.

Pisze Pani o dawnych kolegach, nie zawsze dobrze. Nie boi się Pani, że się obrażą?

Ja zasadniczo bardzo lubię ludzi i w tej książce dominują pogodne i sympatyczne wspomnienia. Gorzkie słowa zachowałam dla bardzo nielicznych ludzi. Wszyscy pytają mnie teraz, czy to prawda, że Wojciech Mann jest niesympatyczny. Prawda. Ale nie boję się, że się obrazi. Bo on się z nikim nie koleguje, więc nawet nie bardzo ma się jak obrazić.

Ale z Mannem nie chodzi nawet o to, że jest gburem. On przez lata prowadził program „Szansa na sukces", który wymyśliła i realizowała Elżbieta Skrętkowska. I pewnym momencie za coś się obraził, porzucił program. A efektem tego focha jest to, że Skrętkowska została właściwie bez pracy i środków do życia. Współpracowali tak wiele lat, ale w ważnym momencie on w ogóle o niej nie pomyślał. Tak nie robią sympatyczne misie.

Napisałam, że nie wierzę w przyjaźń w tym środowisku. Z wieloma kolegami i koleżankami się lubimy i bardzo szanujemy, ale skoro bywamy rywalami, to trudno się tak naprawdę przyjaźnić. Mam przyjaciół poza tym środowiskiem. Na przykład, kiedy wyrzucono mnie z pracy, zadzwonił do mnie człowiek spoza branży – lider zespołu Bayer Full Sławomir Świerzyński. I zaproponował pomoc. Razem z nim poprowadziłam festiwal muzyki disco-polo. Wcale się tego nie wstydzę. Co z tego, że rozmaici moi koledzy podśmiewują się z takich ludzi jak Świerzyński, kiedy to właśnie on pokazuje, że jest wartościowym człowiekiem? Zresztą prowadziłam też festiwal muzyki Krzysztofa Pendereckiego. I szczerze? Nic z tego nie rozumiałam.

A jak w tej książce wypada Pani?

Wszyscy robimy z siebie lepszych niż jesteśmy. Ja starałam się w tej książce zachować dystans do samej siebie. Mam nadzieję, że mi się udało. Są w niej historie, w których śmieję się sama z siebie. Staram się nie udawać, mam przecież swoje wady. Poza tym, jak różni koledzy wydawali książki, to z nich się podśmiewałam. Więc teraz nie mogę swojej traktować zbyt poważnie.

Rozmawiał Wiktor Świetlik

Kiedy wyrzucono mnie z pracy zadzwonił do mnie człowiek spoza branży – lider zespołu Bayer Full Sławomir Świerzyński. I zaproponował pomoc. Razem z nim poprowadziłam festiwal muzyki disco-polo. Wcale się tego nie wstydzę. Co z tego, że rozmaici moi koledzy podśmiewują się z takich ludzi jak Świerzyński, kiedy to właśnie on pokazuje, że jest wartościowym człowiekiem?

BO JA TAŃCZYĆ CHCĘ, CHOĆBY NA RURZE

EMILIA WIŚNIEWSKA
studentka studiów podyplomowych SGH

Od kilku lat nieobce są już nam takie nazwy jak paso doble, jive, salsa czy dancehall. Trwa moda na taniec. Popularne programy telewizyjne, w których tańczyli znani i lubiani sprawiły, że Polacy roztańczyli się na dobre

Tancerka Monika Cyngot

Boom zaczął się od pojawienia się rozrywkowych programów telewizyjnych, w których tańczyli znani i lubiani, młodsi i starsi – był to „Taniec z Gwiazdami". Zapoczątkował on modę na taniec towarzyski, Polacy ruszyli na kursy, rozpoczął się szturm na szkoły tańca. W związku z tym powstawały nowe. Później nadeszła moda na jazz, street dance i taniec nowoczesny. Popularność zdobywali uczestnicy (i jurorzy) programu „You Can Dance – Po prostu tańcz". Dziś przed telewizorami zasiadamy, aby zobaczyć jak radzą sobie uczestnicy programu „Got to Dance". Tu już nie ma podziału – każdy taniec ma swoich zwolenników.

TANIEC TOWARZYSKI

Prym wiedzie jednak taniec towarzyski. Chcemy czuć się pewni siebie i móc profesjonalnie zawirować na parkiecie podczas imprezy czy na weselu. – „Taniec towarzyski zdecydowanie jest najpopularniejszy. Głównie zależy to od specyfiki szkoły, do nas przychodzą pary i jest to największa część kursantów. Nic dziwnego, klasyka jest podstawą do nauki każdego kolejnego tańca" – mówi Patrycja Matyja, manager Akademii Tańca Sulewscy. – „Popularnością cieszy się także taniec towarzyski dla singli, można poznać osoby z tą samą pasją, podobnymi zainteresowaniami. Wiele osób chce nauczyć się tańczyć, aby dobrze czuć się na imprezie, na parkiecie" – dodaje.

Modę na taniec towarzyski potwierdza Iwona Kiraga, manager Szkoły Tańca Riviera: „Moda trwa. Taniec jest wszędzie, ale najpopularniejszy jest taniec towarzyski. Skupia on wiele stylów tanecznych, takich jak walc angielski i wiedeński, tango, rumba, samba, cha cha. To są podstawy, po których później łatwiej kontynuować naukę. Nasi instruktorzy już wielu uczniów zarazili pasją do tańca."

ŻADEN TANIEC NIE JEST PASSE

„Najmniejszą popularnością cieszą się nasze narodowe tańce ludowe - polonez, oberek, mazur, kujawiak, krakowiak. W mało której szkole tańca można spotkać się z zajęciami tych stylów. Warto jednak zaznaczyć, że ze względu na historię tańców ludowych i tradycji z nimi związanymi, nigdy nie przejdą do lamusa" – ocenia Monika Cyngot, instruktorka, wielokrotna mistrzyni Polski Formacji w Tańcach Latynoamerykańskich. Tańce ludowe to także tańce orientalne, a te cieszą się popularnością wśród wielu pań. Taniec brzucha, ladies latino, tribal, drum solo i folklor arabski. „To z jednej strony energetyczne, z drugiej też zmysłowe style, w których relaksują się kobiety w różnym wieku i o różnym statusie społecznym" – mówi Iwona Kiraga. A jak oceniają je uczestniczki? – „Zajęcia ladies latino pozwalają mi uwolnić pokłady energii, radości, jednocześnie angażując całe ciało, a choreografie latynoskie są bardzo ekspresyjne, energiczne i... wyzwalają kobiecość" – mówi Magda, uczestniczka ladies latino w Akademii Tańca Sulewscy.

TYPOWO KOBIECE?

O zumbie słyszał już każdy, od około trzech lat króluje nie tylko w szkołach tańca, ale także w klubach fitness. – „To połączenie tańca i fitness, jest znakomitym pomysłem na sport, bycie w ruchu. Instruktorzy dbają o to, aby w układach znalazły się elementy wyzwalające energię – okrzyki radości, integracja uczestników poprzez zabawę. Pozwala się odprężyć, jednocześnie nie zmusza do pamiętania kroków jak w innych tańcach. Każdy ma swoje powody, dla których wybiera Zumbę, to jasne, że pozwala też zrzucić kilka zbędnych kilogramów" – dowiedzieliśmy się w Szkole Tańca Riviera. – „Popularność zumby wyjaśnia właśnie połączenie zajęć wysiłkowych z tańcem, jest wiele elementów latino, dlatego też jest praktycznie w każdej szkole i każdym klubie fitness" – mówi Magdalena Skoneczna, instruktorka zumby. „Nie każda z pań znalazła partnera do tańca towarzyskiego, panowie nie są tak chętni do pokazywania swoich wdzięków w tańcu. Dlatego też dziewczyny chętnie korzystają z pozytywnej energii podczas zajęć zumby. Pamiętajmy też, że duży wysiłek powoduje wytwarzanie endorfin - hormonów szczęścia" – mówi Monika Cyngot.

TANIEC NA RURZE

Pole dance – na pierwszy rzut oka taniec na rurze. To jednak popularna forma zajęć fitness, ponieważ, aby móc profesjonalnie się zakręcić, trzeba mieć silne mięśnie i dużą wytrwałość. Pole dance to rodzaj gimnastyki artystycznej. Niech nikogo nie zmyli lekkość, z jaką poruszają się tancerki, to bardzo duży wysiłek. Skąd więc ta popularność? – „To kwestia ciekawości, taniec na rurze to przecież taniec zaczerpnięty z klubów go go, taniec erotyczny, od dwóch lat trwa dobra passa pole dance, dziewczyny są ciekawe i chcą spróbować swoich sił" – mówi Patrycja Matyja. Dziś dziewczyny chcą być bardziej wyzwolone, emanować seksapilem, a pole dance stwarza takie możliwości.

Widok idealnie wyrzeźbionych mięśni instruktorów i tancerzy rozbudził w wielu z nas chęć posiadania pięknego ciała. Tańcząc spalamy kalorie, wyzwalamy się, relaksujemy i, co najważniejsze, wyrażamy siebie i własne emocje. To nie tylko moda, ale i chęć bycia atrakcyjnym.

Pozwala się odprężyć, jednocześnie nie zmusza do pamiętania kroków jak w innych tańcach. Każdy ma swoje powody, dla których wybiera zumbę, to jasne, że pozwala też zrzucić kilka zbędnych kilogramów

SZTUKA PO GODZINACH

BARBARA ACHER -CHANDA

Kiedy kończy się spektakl, opada kurtyna, aktor wychodzi na deski teatru po brawa. – Może w ten sposób dopieszczam swoje ego? – śmieje się Marcin Turek pytany czemu związał się z teatrem. Listonosz z zawodu, aktor z powołania związany od 2004 r. z Kompanią Teatralną Mamro odgrywał już w wiele postaci. Za swoją ostatnią rolę – Libertyna – zdobył wyróżnienie Ogólnopolskiego Festiwalu Teatrów Studenckich dla najlepszego aktora. Zanim jednak wieczorem włoży kostium postaci, w którą się wciela, od ósmej do piętnastej krąży po jednym z warszawskich osiedli roznosząc listy.

– Można być amatorem i robić wspaniałe spektakle. Nie muszę, jak zawodowi aktorzy przechodzić etapu grania ogonów, trzymania halabardy. Kiedyś nawet myślałem o tym, żeby zrobić eksternistyczne studia aktorskie, ale wówczas nie mógłbym występować na festiwalach – tłumaczy. – Poza tym zarabianie na życie swoją pasja wydaje mi się groźne. Gdyby teatr stał się moją pracą, to bym musiał grać. A teraz robię to, bo chcę.

Teatralną pasję dzieli z żoną, również aktorką. Od wielu lat wspólnie występowali z Kompanią Teatralną Mamro. Jednak Iwonie teatr dramatyczny nie wystarcza. Dlatego równolegle zaangażowała się w teatr tańca. – Coś takiego jest we mnie. Taka artystyczna dusza. Od początku wiedziałam, że będzie to teatr albo taniec. Ale dlaczego mam wybierać? Stąd mój udział w teatrze tańca Inoj – tłumaczy.

Marcin Turek i Iwona Turek

Na pracy nie kończy się życie. To tylko jedna z wielu ról, które mają do odegrania. W pracy zarabiają pieniądze. A po godzinach realizują swój sen o scenie

Na co dzień Iwona Turek pracuje jako grafik komputerowy. Jej zdaniem zarówno jej pasja, jak i sposób zarabiania na życie łączą się ze sobą. – Taniec jest dla mnie sposobem na wyrażenie piękna. Precyzja w ruchu, dokładność odtwarzania choreografii, grupowy taniec – wszystko to razem tworzy piękny obraz. Czyli nie bardzo różni się od tego, co robię dla pieniędzy – uważa.

Pracę wybrała tak, by móc realizować swoje pozazawodowe potrzeby – Pracuję z domu, dzięki temu nie tracę czasu na dojazdy. Mam też wolną rękę co do godzin, kiedy siedzę przy komputerze. Stąd czas na teatr i na taniec. Dlatego nie chciałabym wykonywać pracy w korporacji, agencji reklamowej – wyjaśnia.

Martyna Grydlik, polski fizyk eksperymentalny, przez cztery dni w tygodniu w instytucie Leibniza w Dreźnie hoduje bardzo małe struktury, które mają się przyczynić do stworzenia jeszcze szybszej i bardziej efektywnie działającej elektroniki. Resztę czasu poświęca na swoją pasję – teatr lalek.

- Cztery lata temu zobaczyłam po raz pierwszy teatr przedmiotów "Orest" Manfredi Siragusa. Spektakl zagrany nożyczkami, szczypcami, brzytwą... Nie miałam pojęcia o istnieniu tego typu teatru. Po tygodniu siedziałam już na warsztatach teatru masek – wspomina początki swojej przygody z lalkarstwem. Dziś sama tworzy lalki i występuje głównie w Teatrze KuddelMuddel w Linz, w Austrii. W tym roku razem z zespołem grała w Międzynarodowym Festiwalu Teatru Lalkowego w Mistelbach. Teraz szykuje się do lalkarskiego dyplomu, w którym ożywi butelki, flamastry, chustki, kubeczki, nawiązując do tym samym do przedstawienia Manfrediego, które tak ją na początku zafascynowało. Jak twierdzi teatr lalek to wciąż hobby, odskocznia od codziennej pracy, kolejna rola w codziennym teatrze życia. Czy kiedyś stanie się główną? Kto wie?

KRZYŻÓWKA

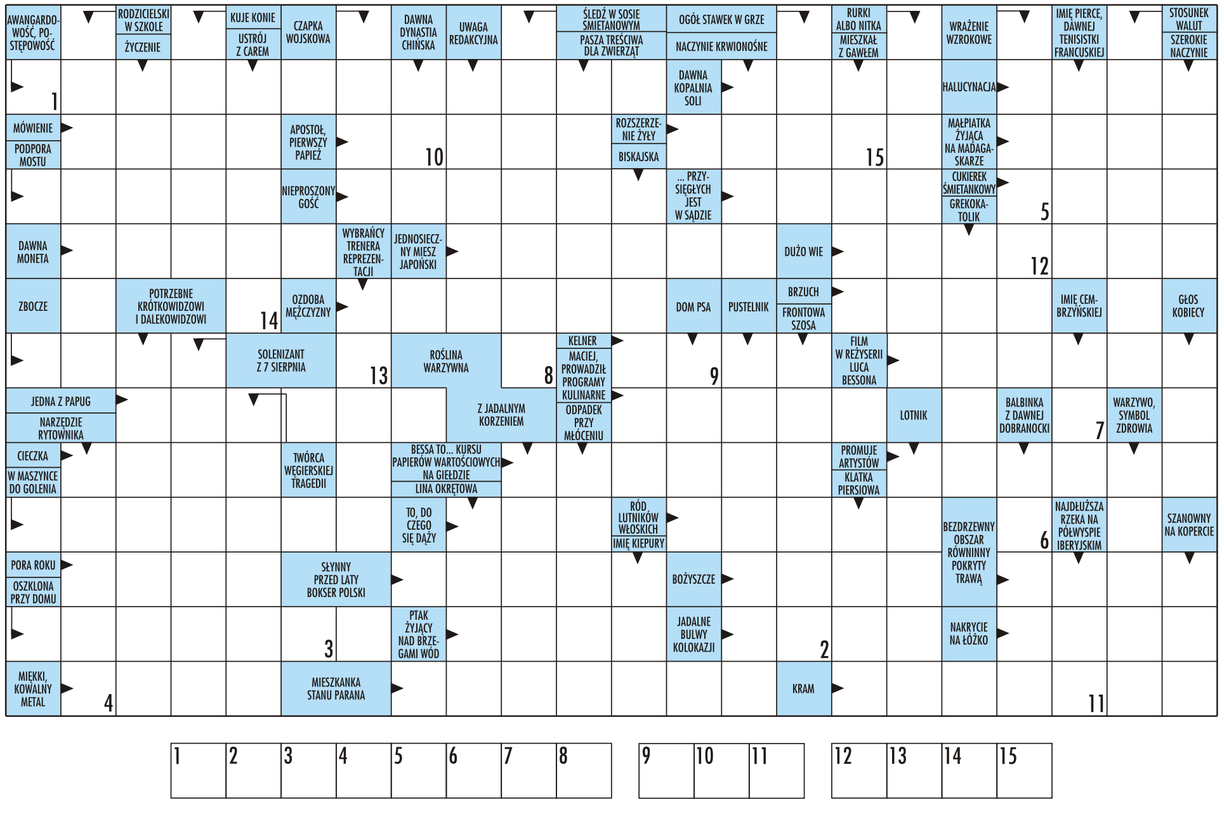

UŚMIECH Z PIASKOWCA

WIESŁAW CHEŁMINIAK
publicysta i krytyk filmowy, historyk

Po latach wywyższania się ponad zwykłych śmiertelników polskie pomniki schodzą z cokołów

Z estetyką przestrzeni publicznej nie jest u nas za dobrze. Brak pieniędzy idzie pod rękę z brakiem gustu. Króluje prowizorka. Tradycyjną ozdobą placów i parków są pomniki. Mamy ich sporo i wciąż przybywają nowe. Niestety, ilość nie przechodzi w jakość. Dominują dzieła szkaradne i źle zlokalizowane. Od urody zawsze ważniejsza była bowiem intencja. Historycy sztuki załamują ręce nad panującym między Odrą a Bugiem "chuligaństwem przestrzennym".

W dawnej Rzeczpospolitej, inaczej niż w innych krajach europejskich, nie powstały wspaniałe posągi monarchów, będące dla tubylców oraz przyjezdnych widomym znakiem potęgi państwa. Za czasów Ludwika XIV przed jego paryskim pomnikiem trzeba było zdejmować kapelusze, a kto tego obowiązku nie dopełnił, miał do czynienia z policją. Nasze monumenty są młodsze, a ich głównym zadaniem było utrwalanie narodowych mitów: od pomnika Piasta Kołodzieja w Złotowie do monumentu Matki Polki w Raciborzu.

WIECZNI STUDENCI

Osobną kategorią są pomniki niedoszłe, takie jak gigantyczny Piłsudski na Kasztance, który miał królować nad nową, reprezentacyjną dzielnicą jego imienia w stolicy, czy gorylowaty Stalin, który na Placu Defilad przyjmowałby hołdy proletariatu oraz inteligencji pracującej. Gdy nastała III RP komik i brzuchomówca Wiesław Podgórski lansował ideę budowy monumentu Grunwaldzkiego przy trasie Warszawa – Gdańsk. Miał on mieć długość pół kilometra i składać się z 350 postaci umieszczonych na 70 cokołach. Tomasz Pałka, producent rzeźb z silikonu, nie ustaje zaś w staraniach, by przybywających do Krakowa witały na rogatkach pięciometrowe głowy monarchów.

Na szczęście moda na pompatyczne pomniki minęła. Powszechną sympatię wzbudzają natomiast dzieła bezpretensjonalne lub wręcz niepoważne. Takie, do których można się przysiąść. Marek Grechuta, Czesław Niemen i inne gwiazdy estrady mają swoje ławeczki w ogrodzie na tyłach Uniwersytetu Opolskiego. Poetka Halina Poświatowska - w Częstochowie. Bolesław Prus, za życia wielki przeciwnik wznoszenia pomników, po śmierci podziwia urodę parku w Nałęczowie. Przy kawiarnianym stoliku wieczną wachtę pełni Piotr Skrzynecki – guru krakowskiej Piwnicy pod Baranami. Na ulicy Piotrkowskiej w Łodzi można się natknąć na Kufer Reymonta, Ławeczkę Tuwima i Fortepian Rubinsteina. Odlany z brązu instrument pełni również funkcję szafy grającej.

Wrocław, Pomnik Pamięci Zwierząt Rzeźnych

FOTO Wikipedia.org

Konstanty Gałczyński proponował kiedyś zbudowanie monumentu żaka, który studiów nie skończył „z różnych względów". W XXI wieku życzeniu poety stało się zadość. W Warszawie przed budynkiem starej biblioteki UW siedzi pomnikowy student Sławek w rozpiętej marynarce i dziurawym bucie. Jego kolega spod rektoratu Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach zachowuje pozycję stojącą, lecz za to wabi studentki nagim torsem.

Z KRASNALEM DO EUROPY

Przed dworcem kolejowym w Gogolinie znajduje się pierwszy w świecie pomnik piosenki. Na jej bohaterów, Karolinkę i Karlika, od niedawna można też natknąć się w Parku Kultury i Wypoczynku w Chorzowie. Trzeba przyznać, że Śląsk wyspecjalizował się w rzeźbach, nawiązujących do lokalnych tradycji. Rynek w Bieruniu Starym zdobi pomnik trzech utopców, czyli wodników. We Wrocławiu dwanaście lat temu pojawiły się pierwsze krasnoludki z brązu. Na początku były hołdem, złożonym Pomarańczowej Alternatywie, której happeningi uprzykrzały życie organom porządkowym schyłkowego PRL-u. Dziś współtworzą optymistyczny wizerunek przyszłej Europejskiej Stolicy Kultury. Wytyczono specjalny szlak krasnali, odnajdując kolejne figurki turyści, chcąc nie chcąc, zwiedzają całe miasto. Pomysłu pozazdrościli wrocławianom mieszkańcy Zielonej Góry, gdzie zaroiło się od Bachusów, oraz Szczytna, które zafundowało sobie gromadkę gnomów – pofajdoków.

Co łączy wszystkich Polaków, bez względu na stan konta i polityczne sympatie? Sentyment do czasów dzieciństwa. Nic więc dziwnego, że Pacanów uczcił już dwoma pomnikami Koziołka Matołka, a Szczebrzeszyn – bezimiennego chrząszcza z wierszyka Brzechwy. Czasy, gdy w Bielsku-Białej biło serce polskiej animacji, przypomina fontanna z Reksiem. Po rynku w Bytomiu Odrzańskim przechadza się kot w butach. Tylko czekać, jak w brązie, kamieniu lub drewnie zmaterializują się kolejne wzbudzające sympatię fikcyjne postacie. Przemyśl i Sanok już próbują uszczknąć nieco ze sławy czeskiego Szwejka. Aspiracje Lubomierza do miana stolicy polskiej komedii filmowej wspierają rzeźby Kargula i Pawlaka. Do tej samej kategorii można zaliczyć wąchocką statuę sołtysa.

NA POHYBEL RZEŹNIKOM

Silne lobby pomnikowe tworzą u nas miłośnicy zwierząt. Od dwunastu lat naprzeciw Wawelu straszy pomnik wiernego Dżoka. Gdy jego pana zabił nad Wisłą atak serca, pies miesiącami koczował w feralnym miejscu. Werniks z Kazimierza Dolnego ponoć przynosi szczęście, gdy dotknie się jego nosa. Atrakcją Sułkowic koło Warki jest pomnik owczarka niemieckiego (Szarika?). We wsi jest bowiem szkoła, w której od lat szkoli się przewodników i ich psy na potrzeby służb mundurowych. Monument Filusia, czworonożnego towarzysza profesora Filutka, znanego czytelnikom dawnego „Przekroju", sprawił sobie Toruń. Na podwórku jednej z poznańskich kamienic stoi rzeźba kundelka, opatrzona imienną listą wszystkich psów, które mieszkały pod tym adresem od początku XX wieku.

Warszawskie Pola Mokotowskie szczycą się Szczęśliwym Psem, po drugiej stronie Wisły odsłonięto pomnik Kota Niezależnego. Polska prowincja kryje jeszcze więcej skarbów. Można się tam niespodzianie natknąć na posąg krowy, kozy, świni, buhaja, żubra, karpia, pszczoły lub konia-krwiodawcy. We Wrocławiu, w miejscu, gdzie kiedyś były miejskie jatki, pojawił się niedawno zbiorowy monument zwierząt, które padły ofiarą tamtejszych rzeźników. Zwolennicy kąpieli w przeręblach ufundowali w Mielnie pomnik morsa.

Dożyliśmy czasów, w których od ideologii ważniejsze jest poczucie humoru. Ich symbolem może być Pomnik Uśmiechu – dzieło brytyjskiego artysty Marka Foldsa, zdobiące rondo w Libiążu koło Oświęcimia. Rozczarowanych tym stanem rzeczy pocieszam, że żadna moda nie trwa wiecznie. A poza tym zawsze można wybrać się w plener i podziwiać pomniki przyrody.

FRAJERZY SĄ OK?

Czym jest kłamstwo? Niczym więcej jak prawdą w masce – stwierdzał lord Byron w Don Juanie. Z takimi wieloma maskami zmaga się bohater powieści „Prawda" - Michaela Palina. Fanatyczni montypythonowcy zawiodą się, jeśli po dzisiejszym Palinie spodziewają się, że bohaterowie jego powieści prawdę odkrywać będą w sposób rodem ze skeczów o hiszpańskiej inkwizycji albo ministerstwa głupich kroków. Mniej zawiodą się ci, którzy Palina kojarzą z podróżniczej serii BBC, którą prowadził. Główny bohater będzie przemierzał modne Indie, gdzieś w tle majaczyć będzie i Ameryka Południowa, będzie też mglista Szkocja, tradycyjnie Londyn, a nawet na chwilę Karlowe Wary. Wszystko to w pogoni za prawdą.

Generalna mądrość wynikająca z „Prawdy" nowego przewrotu kopernikańskiego nie zwiastuje. Otóż często jest zupełnie inaczej niż się nam wydaje, a jak zajrzymy do kuchni, gdzie pieką się najpiękniejsze idee i najwspanialsi idealiści, to zobaczymy sporo obrzydliwych składników, z których ten idealizm jest szykowany. Ale z drugiej strony nikt nie jest doskonały.

Powieść, druga w dorobku Palina, też nie jest doskonała, ale czyta się ją bardzo dobrze, lekko i zabawnie. Główny mieszkaniec kart książki to ktoś w gatunku larsonowskiego Blomkvista, tylko na wesoło – podupadający dziennikarz, który dostaje zlecenie zmieniające jego życie. Tyle, że Palinowski Blomkvist nie jest taki ponury, nadęty i mądry, jak ten larsonowski. To właściwie kompletny frajer.

A morał z tego wszystkiego: czasem warto być frajerem. Książka Palina - zdecydowanie jest nie tylko dla frajerów. Polecamy. Szczególnie jak za oknem listopadowe chmury, a w głowie Indie.

Michael Palin, „Prawda", Insignis Wydawnictwo, 2013

LEKCJA MAZURKA

PRZEPIS NA **SZEŚĆ GWIAZDEK**

ROBERT MAZUREK
felietonista

Nakręcę film i zostanę sławny. Uda mnie się nie dlatego nawet, że mam nieprzeciętny talent, ale dlatego, że mam wiedzę i do sprawy podejdę metodycznie.

Najprościej byłoby zekranizować jakąś lekturę, ale niestety, wszystkie ważniejsze już zekranizowano, a poza tym te, które były lekturami za czasów moich dawno nimi być przestały. Nie wiem nawet czy tam cokolwiek, po kastracji Mickiewicza, Sienkiewicza i Gombrowicza pozostało, a przeniesienie na ekran „Elementarza" Falskiego jakoś mnie przerasta. Wiecie państwo, ten podejrzany związek Ali i Asa... Nie, albo będę zgodny z duchem gender, a wtedy moje dzieło trafi wyłącznie do studyjnych kin w Amsterdamie lub niektórych dzielnicach Hamburga, albo będę wsteczny.

Więc lektura odpada. No to kryminał albo komedia romantyczna, koniecznie tak śmieszna jak „Kac Wawa", w końcu chcę nie tylko kupę kasy zgarnąć, ale i przejść do historii, a taki „Kac Wawa" w każdym rankingu się zmieści. Filmy najgorsze, filmy najgłupsze, obciach dekady – brzmi nawet lepiej niż jakieś lwy gdańskie, gdyńskie czy trójmiejskie.

Niestety i tu zapał mój ostudzono. Maciej Pieprzyca, reżyser autentycznie wybitnego „Chce się żyć" oznajmił, że twórcy filmu nie partycypują w zyskach z biletów. Swoją drogą to wiele tłumaczy – czy przyjdzie milion widzów, czy twoja rodzina dostajesz tę samą działkę. To po co się wysilać? Więc i ja nie będę. Trudno, niejaki Saramonowicz może spać spokojnie.

Skoro więc nie lektura i nie kino komercyjne to sprawa jest prosta. Zakasuję wszystkich artyzmem. Zawsze się o taką wrażliwość podejrzewałem, choć do niedawna uważałem, że to, co ze mnie wychodzi to nudziarstwo. Teraz już wiem, że to namysł i refleksja tak niezbędne do popełnienia dzieła wielkiego. Celuję w sześć gwiazdek.

Do niedawna uważałem, że to, co ze mnie wychodzi to nudziarstwo. Teraz już wiem, że to namysł i refleksja tak niezbędne do popełnienia dzieła wielkiego

Tu wytyczne są jasne. Po pierwsze nie może być śmiesznie. „Śmieje się jak głupi do sera" – głosi pierwsza zasada recenzentów. Śmiech oznacza, że film jest śmieszny, ergo niepoważny, a jak coś niepoważnego może być wybitne, nieprawdaż? Taka oto logika rządzi i ja się podporządkować zamierzam. Łatwo widz ze mną mieć nie będzie, to mu mogę obiecać, niczym Churchill rodakom krew, pot i inne płyny fizjologiczne.

Rzut oka na recenzje filmów pięcio- i sześciogwiazdkowych nie pozostawia złudzeń. Musi być o mniejszościach. I o kobietach, które co prawda są większością populacji, niemniej uchodzą za mniejszość, bo mniej zarabiają. Im więcej mniejszości, tym lepiej. Może się to wydawać przesadą, że ulubioną bohaterką największego polskiego dziennika byłaby czarna, feministyczna Żydówka – lesbijka gwałcona w dzieciństwie przez polskiego księdza. Owszem, może się to wydawać przesadą, ale tylko do chwili, kiedy ktoś takiego scenariusza nie skonstruuje. Nie ma bowiem takiego postępowego schematu, który nie zostałby pochwalony w imię walki ze stereotypami i schematami właśnie.

Bohaterka nasza musiałaby też doznać jakiejś opresji ze strony pozostałych instytucji patriarchalnego, tradycyjnego społeczeństwa. Katujący ją ojciec, zdewociała matka, małe miasteczko, w którym rządzi pieniądz (atak na wielkie korporacje zwiększa szanse na Oscara), rządzi ksiądz.

Wyzwolenie mieliby przynieść wolontariusze załatwiający transport za granicę, gdzie nasza bohaterka mogłaby najpierw dokonać aborcji (ksiądz nie przestał jej gwałcić), a potem zmienić płeć. Niestety, w ostatniej scenie bohaterka ginie we śnie, gdy spada jej na głowę radio.

I jest to oczywiście Radio Maryja.

SZTUKA WALKI O ZŁOTÓWKI

MMA w kilka lat stała się jednym z ulubionych sportów polskich telewidzów. Dla jednych to objaw ogłupienia społeczeństwa, dla innych dowód, że ładnie opakowany produkt zawsze się sprzeda

WITOLD SKRZAT

- Moja lewa ręka to śmierć, a prawej sam się boję – stwierdził Mariusz Pudzianowski przed jedną z bitew w formule MMA czyli mieszanych sztuk walki.

Dla dwóch trzydziestokilkulatków, którzy płacą popularnemu „Pudzianowi" za wejście na ring sprawa ma się nieco inaczej. Dla nich lewica i prawica umięśnionego zawodnika wykonana jest ze złota. Konfrontacja Sztuk Walki (KSW), spółka-założyciel federacji MMA dominującej w Polsce, ten rok zakończy z siedmiocyfrowym zyskiem. A przecież MMA w Europie ma być dopiero na początku drogi na szczyt.

Z SALEK NA SALONY

Jeszcze kilka lat temu walki KSW toczyły się w sali, gdzie woń potu zawodników mieszała się z aromatem dobrze wypieczonych steków. Dziś już mało kto pamięta o pionierskich czasach MMA w restauracji na parterze warszawskiego Marriottu. Bo dziś MMA pachnie głównie pieniędzmi i to podczas gali organizowanych w największych arenach w Polsce. Żeby zrozumieć fenomen i źródło sukcesu dyscypliny, którą wielu nazywa po prostu mordobiciem, trzeba cofnąć się do początku lat 90. Wtedy to po raz pierwszy w erze telewizji troje przedsiębiorczych Amerykanów postanowiło wyciągnąć MMA z dusznych salek, widząc w tej dyscyplinie doskonałą trampolinę marketingową i wabik na rzesze widzów. Z trójki założycieli ledwie jeden miał pojęcie o sztukach walki, pozostała dwójka parała się walką o uwagę mas: marketingiem i tworzeniem technologii pay-per-view. W kilka lat Amerykanie stworzyli zwarty, ładnie opakowany produkt pod nazwą Ultimate Fighting Championship (UFC) i zaoferowali go rodzimym telewizjom kablowym. Chwyciło, dziś galę UFC potrafi obejrzeć niemal 9 mln Amerykanów, płacąc za ten przywilej po kilkanaście dolarów od łebka.

W POLSACIE SIŁA

- Tworzymy nową dyscyplinę i to jest fajne, że się zakorzeniliśmy w umysłach i świadomości Polaków – twierdzi Martin Lewandowski, jeden z właścicieli KSW. Nie ukrywa przy tym, że na pomysł na mocne walki mocnych ludzi wpadł oglądając właśnie amerykańską telewizję. KSW to polska odpowiedź na UFC. Co rusz kontraktuje coraz to nowych zawodników w kolejnych krajach, okupując się przed inwazją federacji ze Stanów. Jeśli UFC będzie chciało mocniej wejść do Polski, to na nokaut KSW nie ma co liczyć. Od kilku lat polska federacja ma mocną kartę przetargową – ogólnopolską telewizję. Dzięki współpracy z Polsatem, walki „Pudziana" i spółki ogląda średnio 3-4 mln Polaków. A to już jest poziom oglądalności skoków narciarskich czy wyczynów piłkarzy. Przy czym marketingowa paczka z napisem „sporty walki" dopiero przebija się do świadomości większości reklamodawców. Jak dotychczas za sukcesem finansowym MMA w Polsce stoi głównie skuteczne odzwierciedlenie amerykańskiego pierwowzoru czyli sprzedaż pakietów pay-per-view.

SKOKI ADRENALINY

Dlaczego mieszane sporty walki tak doskonale nadają się na model opłat bezpośrednich od widzów? Bo doskonale wpisują się w dominujące trendy w kulturze, gdzie ceni się krótkie, pobudzające umysł bodźce. W sposobie pobudzania widzów, walki MMA przypominają skoki narciarskie.

- Skoczkowie dają kibicom niezwykle unikatowy system przeżywania emocji. To przynajmniej kilkadziesiąt powtarzalnych amplitud emocji, sekwencji: od wejścia na belkę po lądowanie — tłumaczy Grzegorz Kita, prezesa Sport Management Polska. Tymczasem na widok wściekłych byków w ringu niejednego kibica adrenalina zalewa dużo szybciej niż na widok Kamila Stocha poprawiającego gogle. Walki MMA są jak blender – emocje, dynamizm, prosty przekaz mieli się tam od samego początku. Wysokie obroty pozostają aż do chwili, gdy jeden z rywali zostanie starty na miazgę. Każda gala to przygotowywane 3 miesiące, starannie wyreżyserowane wydarzenie, federacje MMA podsycają emocje, pokazując walki jako coś więcej niż pojedynki wygimnastykowanych bokserów. Jak trzeba - epatują brutalnością sportu i tworzą fikcyjne historie bohaterów kolejnych walk. Np. KSW kusi też blichtrem rodem z Zachodu, przekonując, że oto facet o kwadratowych ruchach, który niedawno jeszcze wbijał się we frak, by potańczyć na wizji (Pudzianowski) jest zawodnikiem MMA na najwyższym, światowym poziomie. O ile marketingowa machina promocyjno-telewizyjna się nie zatnie, możemy oczekiwać kolejnych „walk stulecia" na piastowskich ziemiach. O wyniki polskich zawodników mało kto się martwi. Bo - jak to w sportach walki – jeśli rzesze są gotowe płacić za wygraną danego zawodnika, to wynik się jakoś dowiezie.

FOTO: WIKIMEDIA/Andrzej Barzyk

ZAWSZE MOŻE BYĆ GORZEJ

- 53-letni mężczyzna zdemolował ok. godz. 2 w nocy zakład fryzjerski na jednym z sosnowieckich osiedli. Wyposażony w młotek i śrubokręt dostał się do środka. Uderzając młotkiem na oślep, dokonał zniszczeń na ponad 8 tysięcy złotych. Co nie dziwne, postawił na nogi cały blok. Następnego dnia tłumaczył, że chciał naprawić awarię i szukał zaworu z wodą, bo był po prostu skacowany.

- Siedlecka komenda policji została powiadomiona przez 28–letniego obywatela, że został on zaatakowany przez 3 nieznanych mu mężczyzn, którzy po pobiciu skradli mu telefon komórkowy. W trakcie podjętych przez nich czynności zaczęły pojawiać się pierwsze wątpliwości co do wiarygodności przebiegu wydarzeń opisanych przez zgłaszającego. Okazało się ostatecznie, że cała historia została wymyślona na potrzeby rozwiązania umowy z operatorem sieci komórkowej, w której chłopak zakupił aparat. Nie wiadomo o którą sieć chodzi, ale kara za składanie fałszywych zeznań może być zdecydowanie dłuższa niż promocyjna umowa z nowym operatorem.

- 23-letni mieszkaniec Olsztyna postanowił zrobić sobie wycieczkę po mieście samochodem ojca. Nie miał prawa jazdy i prawdopodobnie był po kilku kieliszkach. Nie przewidział jednak, że zostanie zatrzymany przez policję, a został. - Kiedy poprosili 23-latka o dokumenty auta i prawo jazdy, zatrzymany mężczyzna odpowiedział, że ich nie ma – opowiada jeden z funkcjonariuszy. I wtedy kierowca postanowił połknąć kluczyki od auta. Policjanci przewieźli zatrzymanego do szpitala i powiadomili ojca o zdarzeniu. Ojciec zmartwił się tym, że połknięty przez jego syna kluczyk miał wbudowany imobiliser i mógł się uszkodzić.

- Do kobiety siedzącej w tramwaju na warszawskiej Woli podszedł mężczyzna i zerwał jej z szyi łańcuszek. Na wołanie o pomoc zareagowało dwóch pasażerów i motorniczy, który zablokował drzwi i wezwał policję. Funkcjonariusze zatrzymali sprawcę, jednak podczas przeszukania nie znaleźli przy nim skradzionej biżuterii. Jak się okazało, mężczyzna przed zatrzymaniem połknął łańcuszek wraz z zawieszką. Teraz, głównym dowodem w sprawie jest zdjęcie rentgenowskie jego żołądka. Pokrzywdzona straty oszacowała na 1500 złotych, nie wiadomo jednak, czy „w ramach czynności śledczych" chłopakowi podano środek przeczyszczający..

Źródła: www.przegladwolski.pl, www.ososnowcu.pl, www.e-siedlce.com, www.faktymazur.plgwe24.pl

Rozwiązanie krzyżówki z strony 12: „Nadciąga Big Data"

Nasz „KONCEPT" jest monitorowany przez: Instytut Monitorowania Mediów

koncept dwutygodnik akademicki, Wydawca: FIM, adres redakcji: ul. Solec 81b; lok. 73A, 00-382 Warszawa, Redakcja: Wiktor Świetlik (red. nacz.), Jarosław Gajewski (zast. red. nacz.), Anita Sobczak (sekr. red.), Jakub Biernat, Mateusz Zardzewiały, Emilia Wiśniewska i inni, projekt graficzny: Piotr Dąbrowski, email: redakcja@gazetakoncept.pl, www.gazetakoncept.pl Aby poznać ofertę reklamową prosimy o kontakt pod adresem: reklama@gazetakoncept.pl OSOBY ZAINTERESOWANE DYSTRYBUCJĄ „KONCEPTU" NA UCZELNIACH, PROSIMY O KONTAKT POD ADRESEM: redakcja@gazetakoncept.pl

OGÓLNOPOLSKA KONFERENCJA GAZET Akademickich i Studenckich

WYKŁADY:

„Media studenckie jako źródło informacji dla młodego człowieka"
Wawrzyniec Pater *(Eurodesk Polska, Fundacja Rozwoju Systemu Edukacji)*

„Czy wiemy, dokąd idziemy?
Jak zmieniają się polskie media i jak te zmiany wyprzedzić?"
Robert Bogdański *(Fundacja Nowe Media)*

znani i cenieni dziennikarze

WARSZTATY:

„Między produktem a misją. Sztuka ciekawego wywiadu"
Bogdan Rymanowski *(TVN 24)*

„Czy w lajfstajlu można jeszcze wymyślić coś nowego – metoda na sukces"
Łukasz Modelski *(Twój Styl)*

„O tym pisać! Sztuka selekcji informacji i wyboru tematów wiodących"
Jacek Karnowski *(wSieci)*

DYSKUSJE:

„Po co to robimy? Dyskusja o misji dziennikarskiej"
Eliza Olczyk *(Rzeczpospolita)*
Piotr Gursztyn *(Do Rzeczy)*
Piotr Skwieciński *(wSieci)*
Michał Szułdrzyński *(Rzeczpospolita)*
Jarosław Gajewski *(Koncept)*

„Gazeta nie tylko do zabijania much. Sztuka przeprowadzania kampanii społecznych"
Marcin Rosołowski *(Koncept)*
Jakub Biernat *(TVP/TV Biełsat)*
Piotr Muller *(Parlament Studentów RP)*
Krzysztof Przybył *(Fundacja Teraz Polska)*
Wiktor Świetlik *(Koncept)*

14-15.XII

KONFERENCJA

CERTYFIKAT OPŁATA 200 zł (dwa noclegi, pełne wyżywienie) WARSZAWA

Zgłoszenia do 15 listopada, formularz dostępny na:
www.FundacjaInicjatywMlodziezowych.pl/konferencja

FIM Fundacja Inicjatyw Młodzieżowych · DWUTYGODNIK AKADEMICKI koncept WWW.GAZETAKONCEPT.PL · Samorząd Studentów Uniwersytetu Warszawskiego · Parlament Studentów Rzeczypospolitej Polskiej · frse Fundacja Rozwoju Systemu Edukacji · Młodzież w działaniu